



LISTOPAD,  
GRUDZIEŃ

1989

**MIESIĘCZNIK POLITYCZNY  
ORGANIZACJI  
LIBERALNYCH DEMOKRATÓW**

**Nr. 95-96**

**WARSZAWA**

**cena 1000 zł**

"WYBIJANIE SIĘ NA NIEPODLEGŁOŚĆ" DZIŚ

DOMEK WYASNY - CZY ABY NAPEWNO?

KOMUNIKAT

WYGRAŁA LEWICA, RZĄDZI PRAWICA

KOMUNIZM UPADŁ

BEZ HISTERII I BEZ LĘKU

SCHYLEK CZY UPADEK?: ("NATIONAL REVIEW")  
NIECH NIKOGO NIE MYLĄ POZORY  
TYMCZASEM NA UKRAINIE

CZERWONY MACLEAN

CHRYSTUS I KOMISARZ ("STALIN I STALINIZM")

NOTATNIK ARKADYJSKI:

- XXXVI. RZECZPOSPOLITA WYBORCZA
- XXXVII. TRUDNOŚCI REALNE
- XXXVIII. NAIWNOŚĆ?
- XXXIX. FOBIE LONDŃSKIEGO PROFESORA

POLOWANIE Z NAGONKĄ  
NIE TYLKO SAJUDIS



**GRUPA PISMA  
"NIEPODLEGŁOŚĆ"**

Prosperujące od lat całkiem niezłe ugrupowania niepodległościowe znalazły się ostanie, i to nagle a niespodziewanie, w kompletnym impasie. Oto bowiem rozpoczęta przez ugodowców rozmowa przy "okrągłym stole", oprotestowana przez radykałów rozgrywka polityczna z peerelowskimi komunistami zakończyła się wynikiem, którego nikt, w najśmielszych nawet snach nie przewidywał: KOMUNISCI O D D A L I WŁADZE, A "SOLIDARNOŚĆ" JA W Z I Ę Ł A. Już dziś, z perspektywy zaledwie kilku miesięcy widać, że jest to niebywały sukces zatwierdzony posypaniem się nieprzejednanych (Bułgaria, Czechosłowacja, Enerdowo) w Bloku.

I choć przecież, to nie perspektywa przejęcia władzy i demontażu komunizmu przywiodła stronę "solidarnościami-opozycyjną" do "okrągłego stołu", choć od takich ekstremistycznych pomysłów opozycyjni negocjatorzy odżegnywali się jaknajgorliwiej, choć nie oni są sprawcami spektakularnej porażki komunistów w czerwcowych wyborach (czerwoni sami sobie założyli pętlę na szyję i wykopali spod stóp krzesło) nie sposób nie przyznać ugrupowaniom ugodowym prawa do politycznego dyskutowania tego, jeszcze nie tak dawno trudno wyobrażalnego, sukcesu.

Zagubione w tym wszystkim, zaskoczone, by nie powiedzieć oszołomione, tempem i zakresem przemian ugrupowania niepodległościowe znalazły się w szczególnie niewygodnej pozycji. Nawet jeśli nie głosimy totalnej negacji wobec przedłużonej aż do jesieni "naszej wiosny" (jak czynią np. PPN, LDP"N", SW, PPS"RD"...), nawet jeśli nie bierzemy wzorca z przyszłowiowej żaby wysuwającej łapę do podkucia (przypadek KPN), nawet jeśli taktownie milczymy, to w milczeniu tym wyczuwam przede wszystkim "mienie za złe" a dopiero gdzieś na dalszym planie zakłopotanie czy bezradność. Bo wprawdzie komunizm się skończył, o socjalizmie nikt prawie nie chce słuchać, Imperium się wali w tempie wręcz oszałamiającym, peerel możemy sobie swobodnie przykrawać do naszych zachodnich gustów... - to wszystko prawda... Ale przecież nasz scenariusz był całkiem inny. I przez kogo innego miał być realizowany. Przyglądamy się więc wydarzeniom podejrzliwie wybrzydząc pod nosem, że to nie tak, a tamto inaczej... - dobrze jeszcze jeśli nie mamrocemy o spisku albo prowokacji.

I jesteśmy w impasie. To co łączyło nas dotąd, a zdecydowanie oddziaływało od ugodowców - kwestia niepodległości - przestało pełnić funkcje wyróżnika. Przestało nas określać, bo któż jest dziś przeciwko "wybijaniu się na niepodległość" - by użyć naszego ulubionego określenia. Jakiś dziwak, albo kosmopolita - ale to margines. Nawet sam Jan Nowak Jeziorański nie będzie już pewno więcej zwalczał niepodległościowców jako ryzykujących bytem narodu ekstremistów. obrońców peerelu jako autentycznego państwa polskiego także ubyło.

Ale przestało nas określać także dlatego, że nie potrafimy tego, miłego przecież naszemu sercu hasła przełożyć na język politycznej praktyki. Nie potrafimy mianowicie, a właściwie nawet nie próbujemy, odpowiedzieć sobie na pytanie: "Co w dzisiejszych warunkach sygnalizującego się sowieckiego Imperium i totalnie rozkładającego się komunizmu oznaczać może nasze tradycyjne hasło "wybicie się na niepodległość"? I czy dziś pytanie to ma wogóle jakiś sens? Dziś, kiedy o wszystkim można pomyśleć. Kiedy możemy sobie jak tylko chcemy zmieniać nazwę państwa z Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej na Rzeczypospolitą Polską. Kiedy możemy ukoronować orła, a Kompanii Reprezentacyjnej Wojska Polskiego (nie Ludowego - broń Piłsudski) o ile tylko zechcemy przypiąć do ramion skrzydła husarskie. Kiedy możemy sobie pozmienić jak chcemy konstytucję...

Otóż właśnie, powyższe wątpliwości, pytania o niepodległość, o warunki jakie muszą być spełnione, byśmy państwo, w którym żyjemy mogli uznać za niepodległe i własne mają swój istotny sens. Zwłaszcza dziś, kiedy różne zewnętrzne ograniczenia naszej niepodległości przestały mieć jakiegokolwiek znaczenie. A przecież zupełnie nie mam, wbrew zmasowanej propagandzie telewizyjnej, poczucia życia we własnym państwie. Rzecz w tym bowiem, że dla mnie "wybicie się na niepodległość" to jakby suma trzech procesów: "wybicie się" łącznie, i "na suwerenność", i "na de-

obrazić, zwłaszcza w ostatniej dekadzie XX wieku, w Europie Środkowej niedemokratycznej politycznie i z gospodarką centralnie zarządzaną Polski. Twór taki nie utrzymałby się napewno. Istnieje natomiast inne, znacznie realniejsze niebezpieczeństwo - Polska poszukująca trzeciej drogi - jakiejś populistyczno-demokratycznej hybrydy w systemie politycznym i socjalistycznej gospodarki rynkowej w ekonomii. I stąd waga jaką przywiązuję do stopnia zaawansowania wspomnianych wyżej trzech procesów.

"Na suwerenność", jeśli nie dojdzie do jakiegoś niewyobrażalnego obecnie "Placu Niebiańskiego Spokoju" w Sowietach, już się wybiliśmy. Jeśli coś nas jeszcze ogranicza - a ogranicza - to opory, które tkwią w nas.

"Na demokrację" dopiero się wybijamy. Przy czym rokowania nie są tutaj najlepsze. Nie ze względu na jakąś presję zewnętrzną. Ze względu na uwarunkowania wewnętrzne. Oto zamiast budować normalny, to znaczy oparty jak na demokratycznym Zachodzie o partie, system polityczny usiłujemy wymyślić i zrealizować model szerokiego i jednoczącego cały naród ruchu, w którym zgodzą się i wypracują wspólne koncepcje konserwatysta z socjaldemokratą, liberał z chadakiem, przedstawiciel mniejszości narodowej z endekiem, mieszkaniec miasta z mieszkańcem wsi...

No cóż, ja wiem, że istniały demokracje obywatelskie bez partii politycznych - np. ateńska. Ja wiem, że partie polityczne przeżywają kryzys, że mają trudności z podjęciem wyzwania naszych czasów. Ja wiem, wreszcie, że partie to ohyda - partykularyzm, korupcja, manipulacja i demagogia. Ja to wszystko wiem. Ja zgadzam się także, z poglądem, iż przyszłość demokracji leży w innych niż partyjne strukturach. Przy całej tej wiedzy ja proszę tylko o jedno: O to, żeby nikt już na mie nie eksperymentował. Czterdzieści sześć lat - to dość! Zadawała mnie całkowicie niedoskonały, wiem to napewno, ale skrojony na ludzką miarę i sprawdzony w praktyce na demokratycznym Zachodzie system partii politycznych a z wszechogarniającymi całe społeczeństwo ruchami społecznymi może by sobie dla odmiany poeksperymentował ktoś inny.

Za wybijanie się "na wolny rynek" tak naprawdę tośmy się jeszcze poważnie nie zabrali. To co się do tej pory w tej materii dzieje - cała liberalna ofensywa w publicystyce - to zaledwie oczyszczanie przedpola. To przywracanie właściwego znaczenia takim pojęciom jak zysk, własność czy praca, to odczarowywanie słów jeszcze niedawno wyklętych takich jak kapitalizm, interes czy bezrobocie. Działania rządu Mazowieckiego, w szczególności to co ma do zaproponowania tzw. plan Balcerowicza to dla odmiany przygotowywanie dopiero podstawy do ataku na twierdze socjalistycznej (a nie jak się mówi teraz w Polsce komunistycznej) nomenklatury. Na tym etapie łatwo o zgodę.

Kiedy jednak przyjdzie to najtrudniejsze a zarazem niezbędne - wycofywanie państwa z gospodarki, Hayek wie ilu objawi się nam zwolenników sprawiedliwości społecznej. Iluż skądinąd godnych społecznego zaufania przedstawicieli elit politycznych, społecznych i gospodarczych zaprotestuje wtedy przeciwko bijącym w oczy niesprawiedliwościom kapitalizmu... Iluż z nich zacznie konstruować teoretyczne modele "nowego wspaniałego świata" efektywnej, sprawiedliwej i nigdy jeszcze w praktyce niesprawdzonej ekonomii. I czy znajdą się siły polityczne zdolne przeciwstawić się ponownemu eksperymentowaniu na polskiej gospodarce. Siły prodemokratyczne w sferze politycznej i prorynkowe w ekonomii, czyli prokapitalistyczne. Wcale tego nie jestem pewien.

Wiem jednak, że siły takie mogłyby się krystalizować, z jednej strony wokół ugodowej, czy pragmatycznej prawicy, z drugiej wśród antypopulistycznie nastawionych niepodległościowych radykałów. O ile ci ostatni zdobędą się na konieczne korekty i programu i taktyki.

Jeszcze nie tak dawno konsekwentnie starałem się dowodzić czytelnikom, że komunizm jest niereformowalny, a nową demokratyczną Polskę można budować wyłącznie na jego gruzach. Przeciwstawiałem się tym wszystkim, którzy sądzili, że drobnymi krokami we właściwym kierunku można ten system rozmiękczyć na tyle, by w efekcie nie przypominał realnego socjalizmu. Persepektywa taka wydawała się jeżeli nie nierealna, to przynajmniej bardzo odległa.

I stało się to czego nikt naprawdę nie oczekiwał. W 1989r. polski komunizm zachwiał się na tyle, że jego definitywny upadek jest tylko kwestią czasu. To co obecnie obserwujemy, cała polityka rządu Mazowieckiego ma wybitnie spektakularny charakter. Można już mówić o sprawach jeszcze kilka miesięcy temu zakazanych, można bez większej obawy drukować i kolportować, można wreszcie publicznie określać swoją organizacyjną przynależność, a nawet mieć krytyczny stosunek do poczynań nowej ekipy politycznej. To naprawdę wiele, a wartości tego przełomu nie sposób nie docenić.

A jednak nie należy zapominać, jak to robią obecne elity, że w Polsce panuje demokracja niepełna choć z solidarnościowym emblematem, że prezydentem /już teraz RP a nie peerelu/ jest przecież komunistyczny polityk, że wojsko i Służba Bezpieczeństwa udają raczej niż się reformują, a wreszcie, że państwo, to znaczy jego podstawowe struktury i cała nieomal gospodarka, pozostaje nadal w rękach nomenklatury.

Widowiskowy sukces, do zaistnienia którego przyczyniła się zdecydowana większość Polaków, jak do tej pory nie został zdyskontowany w całości. Ciągłe propagandowe powtarzanie, że rząd Mazowieckiego jest naszym rządem i że jesteśmy nareszcie we własnym kraju jest, według mnie, grubo przedwcześnie. Mogę zrozumieć intencje propagandy, której celem jest próba uzyskania społecznego poparcia dla radykalnego programu gospodarczego, lecz trudno pogodzić mi się z kolejną manipulacją.

Nie jesteśmy jeszcze we "w ł a s n y m   k r a j u", nie weszliśmy nawet na próg "w ł a s n e g o   d o m u". Nie mamy innego wyjścia niż jak najszybciej ten próg przekroczyć. Aby to nastąpiło nie wystarczy nawoływania i pobożne życzenia - potrzebne są głębokie i natychmiastowe instytucjonalne zmiany w strukturze samego państwa i jego publicznych służb. Nie wystarczy zmienić nazwę i ubrać orła w koronę, abyśmy poczuli się w RZECZPOSPOLITEJ. Polityczny czas na przekór powszechnemu mniemaniu, nie bardzo pracuje na korzyść polskiej demokracji. Jej losy są przecież powiązane z sytuacją polityczną w Związku Sowieckim, a ta nie jest stabilna. Nie jest wykluczone, że ZSRS, stojąc przed groźbą rozpadu imperium, zdecyduje się siłą powstrzymać ten proces. Nie musiałoby to wprawdzie oznaczać automatycznie interwencji zbrojnej w Polsce, czy w innych krajach Bloku, lecz uniemożliwiłoby z całą pewnością dalsze polityczne przekształcenia.

Niesłychane szanse dziejowe należy wykorzystywać szybko, dopóki trwa koniunktura. Koniunktura trwa obecnie, ale nikt nie jest w stanie przewidzieć, co naprawdę w Europie stanie się za pół roku, tak jak nie przewidywano krwawych zająć w Rumunii. Przekształcenie polskiego państwa w kierunku autentycznej demokracji parlamentarnej i wolnego rynku w moim mniemaniu jest zbyt powolne. Obserwator sceny politycznej ma uczucie, że obecna ekipa tę nową rewolucję chce przeprowadzić w białych rękawiczkach zgodnie z zasadami obowiązującymi w naprawdę demokratycznych krajach. Sejm, Senat, Prezydent, długa droga legislacyjna, później przepisy wykonawcze. I to wszystko ma się odbywać w sytuacji, gdy większość posłów w Sejmie ma komunistyczną przeszłość, gdy struktury państwa obsadzone są ludźmi mianowanymi przez PZPR i nastawione na bojkot zarządzeń i poleceń z Warszawy. To wszystko dzieje się w imię tzw. zgody narodowej i zasypywania przepaści. Głosy przeciwne takim konfiguracjom nazywane są nieodpowiedzialnymi, a ich głosiciele politykierami.

Najlepiej na tym wychodzą ludzie z PZPR odpowiedzialni nie tylko za ostatnie dziesięciolecie. Wygrywają dla siebie wszystko co mogą wygrać. Są dobrze obsadzeni w polskiej rzeczywistości, gdyż poza Warszawą niewiele się ona zmieniła od

roku. Nie chcę być źle zrozumiany - nie nawołuję do pogromu komunistów, ale do systematycznego i stanowczego odsuwania ich od wpływu na politykę państwową i gospodarczą. Trudno mi zrozumieć, dlaczego solidarnościowy Premier do tej pory toleruje na stanowiskach komunistycznych wojewodów, tych samych, którzy doprowadzili do ruiny wszystko co podlegało ich wpływom. Dlaczego toleruje brak jakichkolwiek autentycznych zmian w aparacie milicyjnym i wojskowym. Chciałoby się zapytać, czy po tym wszystkim co lawniowo zdarzyło się jesienią w Europie Środkowej, te dwa niezwykle ważne resorty muszą być obsadzone przez przedstawicieli siły politycznej, która terroryzowała Polskę przez ostatnie dziesięciolecie.

Nie sądzę, żeby były to za ostre sformułowania. Jeszcze dosadniejsze można usłyszeć dosłownie wszędzie. Czy ten vox populi nazwiemy brakiem rozważań politycznej? W każdym normalnym kraju, po wygranych wyborach, następuje wymiana ekipy rządzącej. W Polsce dotyczyła ona co najwyżej kilku najważniejszych ale nie wszystkich stanowisk rządowych. Popularność i uznanie dla rządu Mazowieckiego, zapewne jeszcze wielkie, może stać się dyskusyjne, jeżeli polskie społeczeństwo przekona się, że z koniecznych ekonomicznych wyrzeczeń zostanie wyłączona dotychczasowa rządząca nomenklatura, zarówno ta polityczna jak i gospodarcza. Jeżeli przebudowa struktur państwowych zostanie rozwleczone w czasie a na poziomie gminy, powiatu, czy województwa zmiany będą niezauważalne, to naprawdę dobry program przebudowy gospodarczej może zostać niezaakceptowany przez tych, którzy muszą ponieść największe koszty, czyli przez większość ludzi.

Polska dopiero zmierza do wolności i demokracji. Tradycyjna nazwa państwa i tradycyjne jego godło nie potrafią przesłonić wciąż jeszcze peerelowskiej rzeczywistości. Niewątpliwie ten peerel polonizuje się w szybkim tempie, ale proces ten mógłby postępować znacznie szybciej, choć mniej efektywnie.

Jestem za jak najszybszymi wyborami samorządowymi, które na cztery lata ustalą rzeczywistą władzę w terenie niezależną od państwa a jedynie od wyborców. Odkładanie ich w nieskończoność jest dużym błędem politycznym. Jestem za tym, aby do tych wyborów stanęły nie tylko Komitety Obywatelskie pod szyldem "Solidarności", lecz aby wszystkie polityczne siły miały w nich jakieś szanse.

Nie wszyscy radni, nie wszyscy wójtowie, burmistrzowie i prezydenci miast muszą wywodzić się z solidarnościowej nominacji. Byłoby to prostym zastąpieniem jednej elity drugą. W samorządowej władzy musi, choćby nawet dla higieny politycznej, znaleźć się miejsce dla liberałów, chrześcijańskich demokratów, pepeesowców, centrystów itp. Wolna i niepodległa Polska to nie tylko radykalna i szybka zmiana ustroju politycznego i zatarcie pozostałości po komunizmie, lecz pluralizm społeczny i polityczny w strukturach państwowych i samorządowych. Samorządowa Rzeczpospolita musi odzwierciedlać te linie podziału politycznego, które autentycznie przebiegają w społecznej świadomości. Same deklaracje tu nie wystarczą. Życie w "w ł a s n y m k r a j u", czuć się, jak we "w ł a s n y m d o m u" będziemy dopiero wtedy, jeżeli życie polityczne i społeczne będzie odzwierciedleniem rzeczywistych różnic istniejących w społeczeństwie. Zacieranie tych różnic już na samym początku to tworzenie sytuacji konfliktogennych. O tym, jak się zdaje, zapominają pochłonięte obroną własnego monopolu politycznego, nowe elity. Z oczywistą szkodą dla wszystkich zainteresowanych.

- Wacław WOJENNY



Ukazujący się od stycznia 1982 r. miesięcznik polityczny "NIEPODLEGŁOŚĆ" wydawany jest przez GRUPĘ PISMA "NIEPODLEGŁOŚĆ" - S.A. Posiada ona wszelkie prawa wydawnicze na obszarze Polski. Prawami wydawniczymi zagranicą dysponuje nasz przedstawiciel Tadeusz Kadenacy - 32 Winterfold Close, London SW 19 6 LE.

Wybory czerwcowe były podwójnie niedemokratyczne. Poprzedzono je kontraktem przy "okrągłym stole", gwarantującym utrzymanie arytmetycznej przewagi PZPR i "stronnictw sojusznicznych", sama zaś procedura wysuwania kandydatów w trakcie kampanii wyborczej uniemożliwiała wybór naprawdę demokratyczny. Po stronie opozycji szansę na wybór mieli wyłącznie kandydaci występujący pod szyldem Komitetu Obywatelskiego. Kilkutygodniowy okres "prawyborów" charakteryzował się bezpardonową walką o stanowisko kandydata na posła lub senatora. Przebieg wyborów czerwcowych, podczas których niemal 100 proc. tych kandydatów weszło do Parlamentu wykazał, że stawka w "prawyborach" była rzeczywiście warta gry. W ten sposób jednak większość posłów i senatorów OKP /Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego/ została faktycznie wybrana nie w powszechnych wyborach, lecz w fazie zamkniętych "prawyborów", w których udział wzięło nie więcej niż 5 tysięcy osób w całej Polsce. O wyborze kandydata /a więc faktycznie wyborze posła lub senatora/ decydował zwykle przypadek. Trzeba bowiem pamiętać o specyfice ruchu opozycyjnego w Polsce przed czerwcowymi wyborami. Poza Warszawą, Gdańskiem, Krakowem, Wrocławiem i może jeszcze kilkoma innymi większymi ośrodkami zorganizowana opozycja polityczna praktycznie nie istniała. Tymczasem konwencje "prawyborcze" odbyły się w 49 województwach. Skład osobowy parlamentarzystów OKP został ukształtowany dzięki powyższej procedurze przypadkowo i swoje rzeczywiste oblicze polityczne posłowie i senatorowie mogli ujawnić dopiero podczas prac Parlamentu. Nie obyło się przy tym bez manipulacji. Politycy warszawscy, kierujący Komitetem Obywatelskim usiłowali w "prawyborach" przeforsować ludzi sobie bliskich, co w wielu przypadkach im się udało. Tyle, że i Komitet Obywatelski nie był /i nie jest do dziś/ ciałem politycznie jednorodnym.

#### Dominacja lewicy

Główny ton Komitetowi Obywatelskiemu nadali politycy lewicowi, związani niegdyś z KOR-em, a także zaprzyjaźnieni z nimi działacze katolicy, również powienienicji lewicowej. Osobą numer 1 stał się Bronisław Geremek, wysokie numery mieli także Jacek Kuroń, Adam Michnik, Henryk Wujec, Jan Lityński, Andrzej Wielowiejski. Komitet Obywatelski, formalnie nominowany przez Lecha Wałęsę, a faktycznie przez Bronisława Geremka, skupił wystarczającą liczbę polityków, czy raczej osób znanych z publicznych wypowiedzi, by mógł nazwać się reprezentacją politycznej opozycji. Nie skupił jednak wszystkich. Co więcej, część polityków, która zgodziła się wejść do Komitetu, miała za góry przydzieloną rolę drugorzędną. Komitet był ciałem na tyle dużym, że jako całość działać nie mógł. Miał natomiast wystarczający autorytet, by stać się ważącą siłą polityczną. Dzięki tym dwóm cechom /organicznej niezdolności do działania i autorytetowi/ Komitet był idealnym instrumentem, powolnym osobom, sprawującym nad nim kontrolę. Spełniał tę rolę w okresie obrad "okrągłego stołu" i kampanii wyborczej.

Obrady "okrągłego stołu", pokazywane w polskiej telewizji przez ponad miesiąc i nagłaśniane przez wszystkie środki przekazu były fasadą dla rzeczywistego kontraktu, zawartego między przywódcami Komitetu Obywatelskiego a PZPR, przewidującego ogólne zasady wyborów, rozdział władzy między parlament i prezydenta /z PZPR/, legalizację "Solidarności". Rozmowy przy "stolikach problemowych" nie miały niemal żadnego znaczenia, gdyż dotyczyły z reguły postulatów ekonomicznie nieracjonalnych. Próba wyegzekwowania zawartych tam porozumień skończyła się po kilku miesiącach fiaskiem. Przykładem - sprawa indeksacji płac, która gwałtownie przyspieszyła inflację. Pierwszym posunięciem rządu Mazowieckiego była zmiana zasad indeksacji, oznaczająca faktyczną z niej rezygnację. Nagłośnienie obrad przy "stolikach problemowych" pozwoliło niektórym politykom uzyskać dużą popularność. Na kilka tygodni zajaśniała gwiazda Ryszarda Bugaja, jako głównego ekonomisty opozycyjnego. Jego hasłem było wyjście z kryzysu bez płacenia przez społeczeństwo kosztów tej operacji. Koszty miał płacić wyłącznie system.

Osoby wylansowane przy obradach "okrągłego stołu" nie miały z reguły większych kłopotów z zakwalifikowaniem się do grona kandydatów do Parlamentu z ramienia Komitetu Obywatelskiego. Co więcej, przywództwo Komitetu dbało o to, by na

listę kandydatów nie dostali się politycy z nimi skłócenii. Najbardziej znany jest przypadek Siła Nowickiego - nestora polskich działaczy opozycyjnych. W kilku przypadkach "Warszawa" skreślała z listy kandydatów wybranych przez wojewódzkie Komitety, preferując raczej lokalnych, mało znanych działaczy, niż polityków znanych, natomiast skłóconych z lewicą z Komitetu Obywatelskiego. Praktyki takie wywołały sprzeciw niektórych działaczy z grona Komitetu, którzy na znak protestu nie zgodzili się kandydować w wyborach. W ten sposób Tadeusz Mazowiecki na kilka miesięcy został wyłączony z głównej gry politycznej.

### Interregnum

Lewica odniosła całkowity triumf podczas konstytuowania się klubów parlamentarnych. Prezydium OKP zostało obsadzone przez osoby z jej grona lub przez nią zaakceptowane. Rozpoczęła się natomiast gra o przyszły kształt "prowizorium ustrojowego". Szybko okazało się, że zasady ustrojowe, określone przy "okrągłym stole", a raczej podczas zakulisowych narad w podwarszawskiej Magdalence, nie przystają do rzeczywistości, ukształtowanej przez czerwcową klęskę komunistów. W obozie lewicy OKP ujawnił się w związku z tym konflikt. Kierownictwo OKP /to jest niemal wyłącznie lewica/ zmuszone zostało do kilku jawnych kompromisów z komunistami, które wykazały, że tajne porozumienia z Magdalenci są głębsze, niż się powszechnie sądziło. Zgodzono się zatem po pierwszej turze wyborów na zmianę ordynacji wyborczej tak, by uratować zagwarantowany w Magdalence udział komunistów. Gdy część posłów z "sojuszniczych" dotąd partii ZSL i SD postanowiła głosować przeciwko kandydaturze Jaruzelskiego na prezydenta, kierownictwo OKP namawiało w kuluarach posłów ze swej grupy parlamentarnej do podtrzymania Jaruzelskiego. W ten sposób generał został prezydentem przy czynnym udziale kierownictwa OKP.

W końcu lipca powstał problem powołania nowego rządu. Część polityków OKP /między innymi Bugaj i Wielowiejski/ publicznie oświadczyli, że najbardziej dla nich satysfakcjonującym kandydatem na premiera byłby Władysław Baka - członek biura politycznego PZPR, bliski współpracownik Jaruzelskiego. Kandydatura Baki miała dużą szansę powodzenia, lecz Jaruzelski popełnił dużą niezręczność desygnując na to stanowisko generała Kiszczaka. Tego było za dużo nawet dla lewicy OKP. Adam Michnik rzucił wówczas hasło: wasz prezydent, nasz premier. Poparł go Jacek Kuroń, natomiast przeciwna przejmowaniu rządu była większość przywódców OKP /między innymi Karol Modzelewski, Andrzej Wielowiejski, Andrzej Stelmachowski/. Ci, z dużym uporem lansowali wciąż kandydaturę Baki. Ten rozłam w łonie lewicy OKP ujawnił jej słabość. Okazało się bowiem, że lewica nie ma żadnej koncepcji sprawowania władzy. Co innego krytykować niepopularne rządy komunistów, co innego zaś przedstawić własny program wyjścia z kryzysu. W tym momencie zgasła gwiazda ekonomisty Bugaja, zwłaszcza że na scenie politycznej niespodziewanego posunięcia dokonał pozostający w cieniu Lech Wałęsa.

### Formowanie rządu

Lech Wałęsa, wysuwając propozycję sformułowania koalicji sejmowej obejmującej OKP, ZSL i SD, chciał za jednym zamachem ustrzelić dwa cele. Po pierwsze, znaleźć wyjście z impasu politycznego, do którego prowadziły porozumienia "okrągłego stołu", a po drugie ograniczyć wpływy lewicy z OKP. Przez wiele lat był jej więźniem, gdyż to działacze KOR-u zapewniali przywódcy "Solidarności" zagraniczne kontakty i wsparcie. Wałęsa posłużył za to lewicowym przywódcom byłej opozycji jako parawan dla ich partykularnej działalności. Słynny plakat - zdjęcie z Wałęsą - zapewniał w kampanii wyborczej sukces, mimo że przewodniczący "Solidarności" większości ludzi, z którymi się fotografował, nie znał. Inicjatywa odwrócenia w Sejmie sojuszy zaskoczyła przywództwo OKP. Technicznie sprawę przeprowadzili senatorowie, bracia Kaczyńscy - sprawni wykonawcy woli Wałęsy. Lewica lansowała na stanowisko premiera /gdy się okazało, że kandydatura PZPR-owca już nie wchodzi w grę/ Geremka lub Kuroń. Wałęsa wybrał Tadeusza Mazowieckiego, pozostającego od wiosny na uboczu. Największym jednak zaskoczeniem był skład rządu. Decydującą rolę odegrał przy tym Waldemar Kuczyński - szara eminencja, bliski przyjaciel nowego premiera. On to zaproponował na stanowisko głównego wicepremiera i szefa gospodarki Leszka Balcerowicza - człowieka nie związanego

dotąd w ogóle z polityką. Drugie kluczowe stanowisko gospodarcze - ministra przemysłu - dostał Tadeusz Syryjczyk - jeden z prekursorów ideologii liberalnej w Polsce. Stworzona na prędcę ekipa gospodarcza, obejmująca jeszcze Marka Dąbrowskiego - faktycznego szefa Ministerstwa Finansów, Aleksandra Paszyńskiego - szefa Ministerstwa Budownictwa i kilka innych osób przyjęła radykalnie liberalny kierunek. Celem nadrzędnym stała się walka z inflacją.

#### Prawicowy rząd, lewicowy Sejm

Gospodarcza polityka rządu jest zdecydowanie prawicowa. Dostosowali się do niej także ci ministrowie, którzy wywodzą się z kręgów lewicowych. Rząd w końcu grudnia przeprowadził w Sejmie pakiet ustaw gospodarczych, radykalnie atakujących inflację i jednocześnie obniżających poziom życia. Teoretycznie, przeprowadzenie ich w Sejmie zdominowanym przez lewicę z PZPR i OKP oraz posłów chłopskich /ZSL + PSL + OKP/, niechętnych polityce liberalnej, uderzającej w słabe gospodarstwa chłopskie, było niemożliwe. Praktycznie, udało się tego dokonać przy nielicznych tylko głosach sprzeciwu. Większość posłów przyjęła program z niechęcią i bez wiary w jego sukces. Jedyne kilkunastoosobowa grupa posłów z OKP, reprezentujących opcję liberalną /tzw. "Akcja Gospodarcza"/ program Balcerowicza przyjęła bez zastrzeżeń i forsowała jego uchwalenie. Reszta posłów głosowała "za" w obawie przed upadkiem rządu Tadeusza Mazowieckiego. Uznała, że nie ma innego wyjścia, ponieważ nikt nie przedstawił programu alternatywnego. W debacie sejmowej niemal zupełnie zatarł się podział na kluby poselskie /przypomnijmy: PZPR, PSL "Odrodzenie", //dawne ZSL//, SD, OKP, PSL, ChSS, PZKS, PAX/. Wyraźnie natomiast kształtował się podział na trzy grupy: krytyków programu Balcerowicza, których była większość, posłów chłopskich, także krytycznie nastawionych do rządowego programu, lecz skupionych głównie na sprawach wsi i nielicznych zwolenników.

Powyższy podział przebiega także w łonie klubu OKP, czyli dawnych działaczy opozycyjnych. Polemiki, także na plenarnych posiedzeniach Sejmu między posłami z tego samego klubu, są niezwykle ostre. Niektórych posłów nic ze sobą nie łączy, poza tym, że niegdyś byli przeciwnikami władzy komunistycznej. Układ ten wcześniej, czy później powinien pęknąć i ukształtować się na nowo, według rzeczywistych preferencji ideologicznych. Sprawia on, że polska scena polityczna jest dziś dla mało wprawnego obserwatora zupełnie nieczytelna.

Najbardziej dramatyczny w tej sprawie jest fakt, że nie wiadomo, jakie poparcie ma rządowy program gospodarczy w społeczeństwie. To ostatnie głosowało w czerwcowych wyborach przeciwko dawnej władzy, lecz nie opowiedziało się wcale za jakimkolwiek kierunkiem politycznym, czy gospodarczym. W społeczeństwie polskim klasa przedsiębiorców, stanowiąca naturalne zaplecze ugrupowań prawicowych dopiero powstaje, zaś klasa wielkoprzemysłowych robotników, zatrudnionych w nieefektywnych gałęziach przemysłu jest nadmiernie liczna. Spoiwem jest Lech Wałęsa który wyrósł na prawdziwego męża stanu. Nie wiadomo jednak, czy jego autorytet wystarczy dla uratowania rządu, prowadzącego niepopularną politykę. Nie wiadomo też, czy Wałęsie będzie na tym rządzie zależało.

Janusz NOWICKI

#### KOMUNIZM UPADŁ

Jeszcze niedawno komunizm wydawał się najbardziej trwałą forną dyktatur. Nie brakowało nawet teorii, iż jest formą niezniszczalną, zwłaszcza, że główna potęga komunistyczna dysponuje bronią masowego rażenia. Przemiany, które zaszły w Europie Środkowej i w Związku Radzieckim były tak szybkie, że dopiero po fakcie przychodzi czas na zatanowienie się nad przyczynami upadku komunizmu. Zastanawiamy się, dlaczego to, co przez lata wydawało się niemożliwe, stało się oczywiste.

#### Komunizm - forma doskonała

Komunizm powstał w wyniku rewolucji i w swej klasycznej formie był systemem



rewolucyjnym. Jako taki łamał dawne struktury społeczne, wprowadzał nowe i powodował ciągły ferment w hierarchii społecznej. Przynosił nagły awans grupom, które dawniej były na dnie /na przykład lumpen-proletariatowi, wiejskiej biedocie/, zaś spychał na dno innych /inteligencję, chłopów, wykwalifikowane kadry przemysłowe/. Ten okres klasycznego komunizmu trwał krótko i dziś został nazwany stalinizmem. Po śmierci Stalina jego rządy zostały potępione i nazwane okresem błędów i wypaczeń. Potępione zostały najbardziej jaskrawe formy dyktatury komunistycznej - procesy, w wyniku których likwidowano partyjną biurokrację, ludo-bójstwo stosowane wobec dużych grup społecznych, niewolnicza praca w łagrach i półniewolnicza na wielkich budowach komunizmu. Potępione zostały "nadużycia" bezpieczeństwa i "kult jednostki" wodza. Komunizm pozostał systemem opresyjnym, lecz jego najbardziej jaskrawe nadużycia zostały wyeliminowane. Okazało się jednak, że równocześnie system stracił swój dynamizm /przede wszystkim gospodarczy, ale także społeczny/, a w peryferyjnych krajach komunistycznego imperium dochodzi od czasu do czasu do zaburzeń. Przyczyna była prosta. To, co Chruszczow i jego następcy uznali za wypaczenia komunizmu było dla tego systemu "funkcjonalne" /pojęcie "funkcjonalne" oznacza w socjologii korzystne dla trwałości systemu/.

Gospodarczym celem komunizmu była forsowna industrializacja, budująca podstawy przemysłu ciężkiego i militarnego. Wymagała ona ogromnych ofiar i obniżenia poziomu życia do granicy biologicznej egzystencji. By zmusić ludzi do pracy w takich warunkach, konieczne były drakońskie środki dyscyplinujące, przekształcające pracę robotników i chłopów w pracę niewolniczą. Jej wydajność była oczywiście niska, lecz jakość zastępowano ilością. Centralizacja decyzji gospodarczych pozwalała znacznie szybciej rozwijać niektóre branże przemysłu, niżby to zapewniły mechanizmy rynkowe. Że w globalnym rachunku było to nieefektywne? Celem był nie ogólny rozwój, lecz ilość produkowanej stali, a przede wszystkim konstruowanych z niej czołgów. Nie ma potrzeby dodawać<sup>11</sup> że w tych rachunkach jakość życia ludzi nie była uwzględniana.

Wzrost produkcji przemysłu ciężkiego nie był też wcale celem naczelnym. Celem tym była natomiast trwałość rewolucyjnej władzy. Dlatego Stalin i jego pomocnicy nie wahali się dezorganizować produkcji przemysłu hutniczego przez aresztowanie wykwalifikowanych kadr inżynierskich, jeżeli uznali, że zagrażają one systemowi. W jaki jednak sposób mogły one zagrażać? Czyż mogli być wrogami komunizmu ci, którzy nosili partyjne legitymacje i należeli często do grona starych bolszewików? Czyż wielkie procesy polityczne, w wyniku których wysyłano na rzeź starych bolszewików można uzasadnić inaczej, jak tylko paranoją Stalina? Otóż można. Stalin, mistrz techniki władzy, rozumiał, że rewolucja musi być sztucznie podtrzymywana. W jej pierwszej fazie do władzy doszły różnego rodzaju szumowiny, wywodzące się, zwłaszcza na średnich szczeblach, z lumpen-proletariatu. Czystki lat 30-tych zmiotły tę grupę fizycznie. Stalin nie czynił tego oczywiście w imię rewolucyjnej moralności, lecz po to, by nie dopuścić do okrzepnięcia aparatu, przejawiającego opór wobec centralnych decyzji. Metoda ciągłych czystek pozwoliła uzyskać nieprawdopodobną dyspozycyjność aparatu. Poza tym stwarzała stałą próżnię społeczną, dzięki której mogli liczyć na awans młodzi dyspozycyjni partyjniacy. Była to wielka rosyjska ruletka: można było w ciągu kilku miesięcy stać się dygnitarzem, albo zapłacić głową.

#### Komunizm postklasyczny

Odrzucenie tych zasad w połowie lat 50-tych zmusiło system komunistyczny do szukania mechanizmów zastępczych, zapewniających stabilność. System trwał przede wszystkim siłą bezwładności, lecz ani gospodarka, ani społeczeństwo nie funkcjonowały tak, jakby tego chcieli dyktatorzy. Mimo to komunizm wciąż wydawał się stabilny. Główną "zasługę" miała w tym względzie siła militarna Związku Radzieckiego. Zachód, po pierwszym szoku, spowodowanym rozszerzeniem imperium sowieckiego na całą Europę Środkową i niektóre kraje azjatyckie, przestał się tym interesować, gdy skonstatował, że demokracje zachodnie nie są przez komunizm zagrożone. Nie widział potrzeby interweniowania na rzecz rozszerzenia demokracji. Przeciwnie, Stany Zjednoczone Ameryki oraz Zachodnia Europa pod-

kreślały stabilność granicy pojałtańskiej, akceptując w ten sposób doktrynę Breżniewa. Kampania na rzecz tzw. praw człowieka, która nasiliła się zwłaszcza w drugiej połowie lat 70-tych, miała na celu wyłącznie uzyskanie lepszej pozycji przetargowej w grze z ZSRR, a nie wynikała z impulsów moralnych. Poparcie dla Ceaucescu, na złość Związkowi Sowieckiemu, jest tu najbardziej wymowne. Innym przykładem, na który należy zwrócić uwagę, było bardzo zdawkowe oddziaływanie zachodnio-niemieckich środków przekazu na społeczeństwo wschodnio-niemieckie. Społeczeństwo to pozostawało w takiej samej izolacji informacyjnej jak narody innych krajów komunistycznych, mimo istnienia w Berlinie Zachodnim wolnej telewizji.

Kolejnym czynnikiem utrwalającym system komunistyczny w jego wersji post-klasycznej był trend lewicowy w polityce krajów zachodnich. Przez wiele lat istniała na Zachodzie fascynacja gospodarką planową. W Europie Zachodniej i w USA lewica miała niemal monopol w sferze myśli i ideologii. Skąd społeczeństwa krajów komunistycznych miały czerpać impulsy do wyzwolenia się, gdy Zachód mniej lub bardziej skwapliwie uznawał nieuchronność upadku demokratycznego kapitalizmu? Od biedy można było jeszcze zainteresować Zachód perspektywą komunizmu, pozbawionego kłów, przybranego w maskę o ludzkiej twarzy, lecz nie zmiany tego systemu na demokratyczny. Tak więc szansa, jaka istniała po odrzuceniu klasycznej formy komunizmu na całkowitą likwidację dyktatur musiała czekać na realizację przez ponad 30 lat.

W połowie lat 80-tych zaistniała w świecie wyjątkowa koniunktura polityczna, która w konsekwencji doprowadziła do "Wiosny Ludów", jaka przeszła przez Środkową Europę w końcu roku 1989. Śmierć Breżniewa w listopadzie 1982 roku uruchomiła lawinę przemian z ZSRR. Dwudziestoletnie rządy Breżniewa, który rzecz jasna nie stosował stalinowskiej metody permanentnych czystek w aparacie, doprowadziły do nieprawdopodobnego skorumpowania i skostnienia systemu sowieckiego. Nieuchronna zmiana aparatu, po śmierci poprzedniego wodza, doprowadziła do destabilizacji. Nie była to destabilizacja planowana, jak w czasach Stalina, lecz wymuszona. Jej niejako symbolicznym przykładem były przejściowe rządy Andropowa i Czernienki. W aparacie rozpoczęła się walka o władzę, wzmacniana przez brak silnego przywództwa. W walce tej coraz częściej odwoływano się do społeczeństwa, nie wtajemniczonego dotychczas w kulisy władzy. Taka była geneza głośności, ogłoszonej przez Gorbaczowa. Zdumione społeczeństwo dowiedziało się, że to, co propaganda podawała jako niewzruszony pewnik, jest mitem bądź kłamstwem. W końcu lat 80-tych destabilizacja Związku Radzieckiego i krajów satelickich stała się faktem.

Równolegle na Zachodzie zachodziło inne zjawisko: powrót nurtu prawicowego, który wierzył w trwałość i rozwój demokratycznego kapitalizmu. W imię tej wiary gotów był podjąć rywalizację z komunizmem. Sukcesy gospodarcze Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii, a także kapitalistycznych krajów Dalekiego Wschodu, potwierdzały słuszność prawicowej kuracji ekonomicznej. Prawda ta dotarła do państw komunistycznych, których gospodarki, oparte na planowaniu i sztucznie ustalanych cenach, borykały się z coraz większymi kłopotami. W Polsce rynkową kurację gospodarki zaczęli zalecać nawet komuniści.

### System i jego ludzie

Wiele osób zwykło personifikować system komunistyczny. Mówiło się na przykład: komunizm jest niereformowalny. Tymczasem za abstrakcyjnym systemem kryli się konkretni ludzie. Oni to byli bardziej lub mniej zainteresowani trwałością komunizmu. Ta personifikacja systemu jest zresztą powieleniem marksistowskiej. Dla marksistów socjalizm lub realizująca go partia są wartościami samymi w sobie. Ludzie są na drugim planie, zaś jednostka jest "zerem i bzdurą". Komuniści, przyjmując taką logikę, byli niewrażliwi na argumenty, że system nie zapewnia właściwego poziomu życia i praw obywatelskich. System nie miał niczego zapewniać, miał po prostu być. Dla tego systemu prowadzono zaborcze wojny i grabiono obce terytoria. Dawniej najeżdźcy, prowadzący wojnę, liczyli na łupy, dzięki którym mogliby się wzbogacić. Związek Radziecki zdobywał terytoria w imię ideologii i stworzonego przez nią systemu. W wielu przypadkach do swej zdobyczy musiał dopłacać /na przykład do Kuby, Angolii, Etiopii/. O ile jeszcze wyżsi funkcjo-

nariusze systemu mieli z tych zdobyczy jakieś korzyści materialne lub moralne, to przeciętny obywatel sowiecki nie miał zupełnie nic. Można go było co prawda karmić wizją wielkiego imperium, lecz głośność pokazała całą nędzę tej wizji: niski poziom życia, ogromną lukę cywilizacyjną, brak szans. Oczywiście tego efektem stało się pytanie, które zadają sobie ludzie radzieccy: właściwie po co my to wszystko robiliśmy?

Pytanie to muszą sobie od jakiegoś czasu zadawać także funkcjonariusze systemu. Ekonomiczna specyfika komunizmu, powoduje, że nie wykształcają się w tym systemie normalne klasy społeczne, związane z własnością produkcyjną. Wprawdzie mówi się o "nowej klasie" /pojęcie wprowadzone przez Dżilasa/, lecz wyrażenie to jest bardziej przenośne, niż konkretne. Partyjny aparatczyk ma oczywiście liczne przywileje, lecz nie zawsze są one wystarczająco wysokie, by kupić jego wierność, zwłaszcza że wiążą się również z licznymi przykrościami. W miarę kosztowności i degeneracji systemu, wielu członków "nowej klasy" zaczęło dochodzić do wniosku, że komunizm zapewnia im mniejsze korzyści niż kapitalizm. Nomenklatura zaczęła się zatem uwłaszczać, zamieniając polityczne przywileje na prawa własności.

Proces ten, aczkolwiek moralnie obrzydliwy, potęgował erozję komunizmu. W Polsce jeszcze w roku 1981 komuniści krzyčili, że "socjalizmu będą bronić tak jak niepodległości". W końcu lat 80-tych zabrakło chętnych do tej obrony. Komuniści stracili ochotę do rządzenia.

Janusz NOWICKI

#### K O N I U N K T U R A   D L A   O P O Z Y C J I

W Polsce jest szansa na demontaż komunizmu. Nie chcę się wypowiadać na temat tego jak wielka - przewidywanie przebiegu wypadków w Europie Środkowej to obecnie zajęcie dla ryzykantów. Na tyle jednak duża, że warta podjęcia. Demontaż ten powinien w rezultacie doprowadzić do:

- wytworzenia się w Polsce demokratycznego systemu politycznego - tylko bowiem wtedy piękne hasło "wolnych wyborów" da się zrealizować w praktyce;
- przebudowania gospodarki centralnie dotychczas sterowanej na rynkową, czyli do zbudowania systemu zwanego demokratycznym kapitalizmem;
- stopniowego, ewolucyjnego odzyskiwania niepodległości.

Zadania powyższe powinien podjąć jak najszybciej i przy jak najniższych kosztach społeczny, niekomunistyczny premier Tadeusz Mazowiecki i rząd przez niego powołany. Aby się to jednak stać mogło, niezbędne jest nie tyle nawet poparcie ile presja zorganizowanych sił politycznych na nieśpieszny /kunktatorstwo z prywatyzacją/ i jak się wydaje nazbyt ostrożny /choćby w kwestii majątku PZPR/ rząd. Tymczasem presję tą nie bardzo ma kto wywierać.

Teoretyczne zaplecze rządu - parlament - roli takiej nie spełnia i być może nawet nie może spełnić. Reprezentowana w nim dotychczasowa opozycja umiarkowana przestała być opozycją. Nie stała się jednak skutecznym oparciem dla wyłonionego przy jej udziale rządu. Szkopuł w tym bowiem, że ani budowa demokratycznego systemu politycznego nie leży w jej interesie ani też nie pragnie ona systemu wolnorynkowego w gospodarce. Liderzy tej formacji, zwanej ostatnio w kraju często "obkomowską" /od Komitetów Obywatelskich/ mają rodowód jednoznacznie lewicowy /czy to laicki czy to katolicki/ marzą się więc im eksperymenty z "trzecią drogą" a nie demokratyczny kapitalizm. Nie są także zainteresowani w określeniu się w kategoriach lewica - prawica, podważałoby to bowiem ich uroszczenia do reprezentowania całego społeczeństwa.

Z drugiej strony są w Polsce siły polityczne, zainteresowane niepowodzeniem eksperymentu pokojowego demontażu komunizmu. Nie jest to wszakże kierunek opozycyjny wobec rządu Mazowieckiego, ponieważ faktycznie nie uznaje jego mandatu. Wywodzi się on z dwóch wrogich sobie nurtów. Z jednej strony jest to OPZZ do ataku na rząd, wykorzystujące hasła populistyczne w rodzaju "wszyscy mamy równe żółądki", "kosztami wychodzenia z kryzysu obciążyć bogatych" czy "ustanowić jednolite ceny". Są to hasła padające ostatnio na podatny grunt, choć oczywiście jest, że Miodowiczowi chodzi nie tylko o ekonomię.

Z drugiej strony jest to część dotychczasowych ugrupowań radykalnych, bojkotujących ostatnie wybory, wszystko co wydarzyło się w ostatnich miesiącach uważają

za zdradę /ze strony opozycji umiarkowanej/ i manipulację /i KGB i peerelowskich czerwonych/. Stawiają oni na wybuch społeczny, licząc, że podrzucą mu hasła, przejmą go i pokierują w kierunku obalenia komunizmu. Koncepcje takie głoszą PPN, SW, PPS-RD, LDP"NN" i odrabiająca przez to straty wyborcze, a przy okazji załatwiająca coś dla siebie /lokale, telefony/ KPN. Zaszłości /rodowody tych ugrupowań/ powodują, że jak narazie nie ma taktycznego nawet współdziałania między radykałami a OPZZem, nie wydaje się także, by było ono możliwe w dającej się przewidzieć przyszłości.

Między opisanymi powyżej dwiema formacjami jest miejsce na opozycję, która poprzez skuteczną presję popychałaby rząd premiera Mazowieckiego w kierunku szybszego, a przede wszystkim efektywniejszego demontażu systemu komunistycznego. Jak narazie bowiem efekty tego demontażu są więcej niż skromne. Do zajęcia tego miejsca pretendują cztery rodzaje ugrupowań:

1. dotychczasowa "szara strefa" między władzą a opozycją - np. "Stronnictwo Pracy" Zabłockiego, grupa mec. Chrzanowskiego czy też środowisko "Res Publici";
2. część opozycji umiarkowanej - np. grupa Antoniego Macierewicza, czy środowiska wywodzące się z "Ruchu Młodej Polski" czy wreszcie różnorodne grupki konserwatywne i liberalne;
3. nierewocujni ale antykomunistyczni radykałowie - np. "Wolność-Sprawiedliwość-Niepodległość", "Wyzwolenie", "Samostanowienie" czy "Niepodległość";
4. reprezentowane w parlamencie czy to w OKP czy to w innych klubach, środowiska prawniczo-liberalne, choćby grupa Machalskiego.

Cała trudność polega jednak na utworzeniu rzeczywiście poważnej i wiarygodnej inicjatywy organizacyjnej. Akcja indywidualna czy nawet wspólna kilku niewielkich grupek zapewne nie przyniesie godnych uwagi rezultatów. Inaczej mówiąc, powinna to być inicjatywa ugrupowań dysponujących dorobkiem, zwolennikami, nazwiskami i pieniędzmi /choćby na uruchomienie pisma/.

Z obecnych inicjatyw szansę na zaistnienie na arenie politycznej ma powołane niedawno Zrzeszenie Chrześcijańsko-Narodowe, dysponujące właśnie i dorobkiem i nazwiskami i zwolennikami... zwłaszcza jeśli poszerzyłoby się w kierunku chadecji.

Ugrupowania demokratyczno-liberalne, liberalne i konserwatywne nie poparły jak narazie Zrzeszenia, być może ze względu na jego lekko neoendecki charakter oraz marzenia o "trzeciej drodze". Niestety do tej pory nic nie wskazuje, by ugrupowania te zdobyły się na wyłonienie formacji przypominającej, powiedzmy, amerykańską partię republikańską, choć dysponują przecież podobnymi, jeśli nie lepszymi, atutami co ZChN. Gdyby jednak formację taką, poszerzoną o środowiska chadecckie, takie jak SP i ZChN, udało się w Polsce utworzyć, uzyskali byśmy środek do wywierania zdecydowanego i efektywnego nacisku na rząd premiera Mazowieckiego i na parlament w kierunku szybszego i bardziej zdecydowanego demontażu komunizmu i budowy demokratycznego kapitalizmu w Polsce.

Artur WIECZYSTY

## BEZ HISTERII I BEZ LEKU

Od wielu tygodni w polskiej telewizji trwa propagandowa wrzawa na temat zjednoczenia obydwu państw niemieckich. Wypowiadają się politycy, historycy, autorytety naukowe. Ze wszystkich tych enucjacji wyziera lęk, skierowany ku niepewnej, ich zdaniem, przyszłości naszych granic zachodnich. Problematyka niemiecka legła u podstaw i zdominowała całą PRL-owską politykę zagraniczną. Zagadnienia niemieckie, komunistyczne służby zagraniczne, przez 45 lat rozpatrywały przez pryzmat niemiecko-radzieckich interesów.

Niemcy przegrały II Wojnę Światową i zostały na konferencji w Poczdamie podzielone na cztery strefy okupacyjne i terytorialnie zepchnięte na Zachód. Józef Stalin, przy milczącej zgodzie aliantów zachodnich, wykreślił na mapie nie tylko wschodnią granicę Polski, odcinając od niej całe Wschodnie Kresy jako własną zdobycz wojenną, ale także łaskawie podarował Polsce co się jej należało jako rekompensata za pięć lat okupacji - Ziemię Zachodnie i Północne, przedtem przynależne do III Rzeszy. Chytry satrapa, gwarantując przynależność

Ziem Zachodnich do Polski, wywierał bezpośredni wpływ na kolejne rządy w Warszawie, a w razie nieposłuszeństwa Polaków był w stanie zagrozić wycofaniem swego poparcia i nowym układem niemiecko-sowieckim na wzór paktu Ribbentrop-Mołotow. Komunistyczne władze PRL nie były w stanie podjąć żadnej inicjatywy politycznej w stosunku do Niemiec Zachodnich w kwestii ostatecznego uregulowania problematyki granic. Wymuszona miłość Niemców Wschodnich do Polaków i zawarcie Układu Zgorzeleckiego tak naprawdę niczego nie rozwiązywała. Od 1945r. minęło jednak sporo czasu. Zachodnie Niemcy, chociaż nominalnie traktowane jako strefa okupacyjna, tak naprawdę od dawna stały się państwem suwerennym i demokratycznym. Sygnały rewizjonistyczne dochodzące stamtąd i zwielokrotniane przez komunistyczną propagandę, były rezultatem zarówno funkcjonowania demokratycznego systemu z wolnością formułowania różnych opinii, jak i autentycznego pragnienia przesiedlonych Niemców do powrotu na ojcowiznę. Wilniacy i Lwowianie, żyjący w obecnych granicach Polski, nie mieli prawa zakładania Związków Wypędzonych i kultywowania więzi ze swoją bliższą ojczyzną. A przecież tereny wschodnie zostały Polsce zabrane w wyniku zmywy niemiecko-radzieckiej i równoczesnej agresji na nasz kraj tych dwóch totalitaryzmów. Natomiast ziemie nad Odrą wróciły do Polski jako słuszne zadośćuczynienie za gehennę lat wojny.

W 1945 roku zrzędzeniem losu jeden z agresorów wrześnieowych znalazł się w obozie zwycięzców. Demokratyczne Niemcy Zachodnie podjęły refleksję nad skutkami II Wojny Światowej. W swobodnej politycznej i ogólnonarodowej debacie wygotowywał się niemiecki kompleks winy wobec Polski i innych okupowanych krajów. Niemiecki cud gospodarczy sprawił, że RFN stała się państwem konsumpcyjnym o wysokim standardzie. Tam też najsilniej w Europie przejawiały się pacyfistyczne nastroje. To stamtąd wywodzą się słynne Marsze Wielkanocne, to tam zrodziła się pacyfistyczna partia zielonych, a to wreszcie w RFN był największy opór przeciwko instalacji amerykańskich Pershingów. Demokratyczny kraj dobrobytu nie myśli o wojnie, wojny się boi, ponieważ zbyt wiele ma do stracenia. Natomiast Wschodnie Niemcy wtłoczone w komunistyczny system ex definitione od razu w 1949r. zmasowały hańbę hitleryzmu. Komunizm miał sprawić, że NRD stała się państwem postępu, miłującym pokój i przyjaźń między narodami. Wówczas, kiedy RFN sądziła zbrodniarzy lat wojny, w NRD hitlerowscy zbirzy po przyjęciu czerwonej legitymacji, odzyskiwali spokój i autorytet. Niemcy Wschodnie paraliżował strach przed Rosjanami, ten strach kazał skrzętnie ukrywać swoje polityczne postawy i swój stosunek do sąsiadów. Było jednak jasne, że w NRD toczyło się pozorne życie polityczne, że wcześniej czy później musi zostać otworzony wentyl bezpieczeństwa, a zamknięte w szczelnej puszcze zmyły przeszłości, znów dadzą znać o sobie. I taki moment nadszedł. Niemcy u progu 1990r. mogą głośno artykułować swoje potrzeby. Tą potrzebą jest zjednoczenie obydwu państw niemieckich.

Kilka lat temu, w naszym piśmie sformułowaliśmy wniosek, w którym atwierdziiliśmy, że zburzenie porządku jałtańskiego musi zacząć się od zjednoczenia Niemiec. Podział Niemiec na strefy wpływów stał się najbardziej spektakularnym wyznacznikiem Jałty. Powiedzieliśmy to nie dlatego, aby bronić interesów niemieckich - choć wszystkie narody mają prawo decydować o własnym losie, bez zewnętrznych nacisków - lecz po to, że polska niepodległość jest ściśle związana z obaleniem postanowień konferencji w Jałcie.

I dzisiaj po latach podtrzymujemy tamto stwierdzenie. Nowy Ład europejski, to pokojowa koegzystencja wonych narodów i demokratycznych państw, żyjących w pokoju. Od czasów zakończenia II Wojny Światowej zmieniła się bardzo Europa - zmieniły się również i Niemcy. Gdy ona wybuchała byliśmy otoczeni przez dwa totalitaryzmy - niemiecki i sowiecki. To nie tyle Niemcy i Rosjanie, lecz systemy totalitarne nastawione imperialnie i pozbawione społecznej kontroli są winne tragedii II Wojny Światowej. To obłąkane ideologie, którym totalitaryzmy zdołały zarazić własne społeczeństwa, podtrzymywane systemem strachu i przymusu, podbudowane nienawiścią i nacjonalistyczną histerią są winne zbrodni ludobójstwa. Dzisiaj sytuacja jest zgoła odmienna. Na gruzach komunizmu w Europie Wschodniej narody zaczynają budować państwa demokratyczne. To co miało trwać bez końca, upada za życia jednego pokolenia. Podobnie jak komunizm, swój koniec musi znaleźć sztuczny podział Niemiec.

Polacy muszą dbać o własne państwowe interesy. Polacy muszą dbać o nienaruszalność swoich granic zachodnich. Lecz muszą to czynić bez hysterii, na chłodno

i z konsekwencją. Najlepszym zabezpieczeniem dla Polski, dla jej suwerenności będzie koegzystencja z demokratycznymi sąsiadami. Niemcy jako jedno państwo staną się państwem demokratycznym. Oczywiście we wschodniej jego części ten proces potrwa znacznie dłużej, gdyż demokracji nie osiąga się z dnia na dzień. Demokracja nie jest tylko kwestią zbudowania instytucji demokratycznych, lecz przede wszystkim zagadnieniem filozofii postaw i zachowań społecznych. Osobiście nie sędzę, aby zjednoczone demokratyczne Niemcy zechciały upominać się o nasze ziemie zachodnie. Najprawdopodobniej po swoim zjednoczeniu udziałą gwarancji prawnych czy to w formie traktatu pokojowego, czy obustronnej umowy. Lecz przecież nie traktaty są ważne. Przedwojenna Polska miała traktat o nieagresji z Niemcami i Związkiem Radzieckim. O pokoju czy wojnie decyduje realny układ sił i ocena własnych możliwości.

Reagując z dużym niepokojem na zjednoczenie Niemiec, Polska znowu szuka gwarancji u Związku Radzieckiego. Gdy Węgry i Czechosłowacja negocjują z Rosjanami wycofanie Armii Czerwonej z ich terytoriów, Polska dyplomacja milczy. Wycofanie Armii Czerwonej z Polski jest jedną z gwarancji naszej niepodległości. Rząd Mazowieckiego, zostawiając sowieckie dywizje w Polsce, godzi się na jej dalszą okupację. Armia Czerwona nie zagwarantuje polskiego bezpieczeństwa, gdyż komuniści dotrzymują umów tylko jeżeli przynoszą im korzyść. Polskie bezpieczeństwo może zagwarantować zupełnie nowy system sojuszy. Nadszedł czas, aby o takie sojusze zabiegać. Pora spróbować wrócić do starej koncepcji sojuszy wojskowych i politycznych krajów Europy Środkowej. Czas nie zdewaluował tej koncepcji. Polska, Czechosłowacja, Węgry, w przyszłości może Bałtowie, Białorusini i Ukraińcy - to naturalni sojusznicy. Rozpad sowieckiego imperium i demokratyczne kraje na naszej wschodniej granicy, współpracujące z Polską, mogą stanowić gwarancję, że totalitarny dyktat w Europie Środkowej już nie powtórzy. Polska już teraz musi popierać wybijanie się na niepodległość państw bałtyckich, udzielając im niezbędnej pomocy i formalnie uznać ich niepodległość. Wszelkie wyczekiwania i kumtatorstwo może zniweczyć kapitał politycznego zaufania. Trzecia siła w Europie - to rzeczywista gwarancja naszej niepodległości, to ochrona militarna przed Niemcami i Rosją.

Wojciech Cyryl CYWILNO-WOJSKOWY

#### SCHYLEK CZY UPADEK ?

Redakcja amerykańskiego konserwatywnego dwutygodnika "NATIONAL REVIEW" opublikowała w styczniu 1989r. serię wypowiedzi rozmaitych znanych osób na temat obecnego rozkładu komunizmu w ZSRR oraz upadku reżimu sowieckiego. Wybraliśmy dla naszych Czytelników dwie wypowiedzi - Radka Sikorskiego, wieloletniego współpracownika pisma, specjalisty od spraw wschodnich, oraz Richarda Greniera, dziennikarza z "WASHINGTON TIMES" i "LONDON SUNDAY TELEGRAPH". Skrót w obu artykułach oznaczone /.../ pochodzą od redakcji "N" - REDAKTOR DYŻURNY.

x x x

#### NIECH NIKOGO NIE MYŁĄ POZORY

przedruk: "NATIONAL REVIEW" 27.01.1989r.

/.../ Jeśli reżim sowiecki reprezentuje przyszłość, nikt nie chce w nim żyć. Za przyzwoleniem samych Sowietów, marzenia o nowym człowieku radzieckim - ateście, ciężko pracującym i o poglądach internacjonalistycznych /choć mówiącym po rosyjsku, który to język miał pozostać lingua franca imperium/ - rozwiały się. Zamiast stachanowskiego homo sovieticus, przez szczeliny w oficjalnej fasadzie można dostrzec zmęczonych Ukraińców, Estończyków, Kazachów, nienawidzących zarówno komunizmu, jak i rosyjskich szowinistów, którzy go im narzucają. /.../

Po tym jak 40 lat temu Stalin ogłosił, iż Związek Radziecki wszedł w stadium socjalizmu i jak dziewięć lat po tej dacie Chruszczow obiecał, iż jego państwo osiągnie "całkowity komunizm", okazało się, iż ZSRR znajduje się w głębokim kryzysie i gwałtownie potrzebuje radykalnej "restrukturyzacji". Warto zapamiętać, iż w roku 1988 Gorbaczow obiecał, że do roku 2000 każda sowiecka rodzina będzie posiadać własne mieszkanie. Niech te pobożne życzenia posłużą za dowód sowiec-

kiego upadku.

"Głasnosti" jest w brud, atoli "pierestrojka", według najnowszego dowcipu sowieckiego, przypomina tajgę: w koronach wysokich drzew hula tam wiatr, jednak na dole, gdzie są ludzie, panuje cisza i spokój. Szanse na fundamentalne reformy są znikome, albowiem, jak zauważył Leo Labez, historia jest dziwnie perwersyjna. Oto kategorie marksistowskie mają bardziej zastosowanie do ZSRR w epoce jego schyłku, aniżeli do nowoczesnych społeczeństw wolnorynkowych. Posługując się sowieckim żargonem, można rzec, iż podstawa sowieckiej nadbudowy politycznej - czyli przodująca rola partii - stała się zawadą sił produkcyjnych tego kraju /.../. Zasadniczą przyczyną zahamowań jest negatywna selekcja ludzi na wszystkich szczeblach władzy - oparta na lojalności wobec nomenklatury, a nie na talencie, czy na wydajności. Tak się jednak składa, iż to właśnie nomenklatura pozostaje klasą rządzącą, co nie jest niczym zaskakującym. Celem Gorbaczowa jest uchronienie tej klasy od konsekwencji jej własnych błędów, nie zaś przekonanie jej, by popełniła zbiorowe samobójstwo /.../.

Nawet bez ciężaru kosztownej wojny afgańskiej, ogromnych wydatków na zbrojenia, oraz katastrof w rodzaju Czarnobyli, czy też trzęsienia ziemi w Armenii, nic nie zahamuje upadku gospodarki sowieckiej, a upadek ów może trwać przez dziesiątki lat. /../. Sytuacja w ZSRR, w Jugosławii, a również w Polsce, na Węgrzech, w Rumunii, dobitnie pokazuje, co się dzieje, gdy reżim komunistyczny usiłuje odwrócić nadchodzący kryzys za pomocą pożyczek, zaciąganych na Zachodzie. Wprowadzenie etyki protestanckiej, etyki pracy, pod rządami nomenklatury, okazało się niemożliwe w całym komunistycznym świecie. /.../

/.../ Na zakończenie roku, w którym to armia sowiecka niemal wycofała się z ubożego kraju, który usiłowała podbić, zwyciężona przez tych, którzy zgodnie z sowiecką doktryną, mieli być feudalnymi dzikusami, warto zadać następujące pytania: czy już nadszedł czas? Czy najbardziej krwawy reżim w historii ludzkości niebawem się rozpadnie? Czy zbliżamy się do roku 1905, który był próbą kostiumową rewolucji, czy też do roku 1917 - do prawdziwej rewolucji?

Niestety, scenariusz roku 1917 jest tak samo nieprawdopodobny jak obietnica, którą dał mi pewien dowódca mudżahedinów afgańskich w obozie górskim w zeszłym roku. - Gdy już zwyciężymy Sowietów, będziemy walczyć dalej. Najpierw uwolnimy Samarkandę i Bucharę, a potem pomaszerujemy na Moskwę. Myślisz, że żartuję? Zobycysz, moi ludzie pójdą za mną aż do Moskwy. Oczywiście potem uwolnimy także was - Polaków... /.../

W społeczeństwie sowieckim istnieją napięcia wewnętrzne, jednak, jak stwierdził James Sherr: "Porządek w **ZSRS** jest funkcją tego, czy obywatele szanują reżim, nie zaś tego, czy jest on lubiany". Oburzenie wśród narodów **ZSRS** będzie zapewne rosnąć, jednak wybuchnie ono jedynie w większości europejskich rejonów **ZSRS**, nie zaś na muzułmańskich pograniczach.

/.../ Muzułmanie uważani są za śmiertelne zagrożenie dla jedności imperium z powodu ich wysokiej stopy przyrostu naturalnego - jeśli obecne trendy pozostaną, za kilkadziesiąt lat odsetek Rosjan w całej ludności Związku **Sowieckiego** zmaleje do połowy obecnego, zaś odsetek mahometan wzrośnie pięciokrotnie. Dojdzie w końcu do tego, że wyznawcy Allaha w wojsku zaczną obejmować stanowiska dowódców - a wiemy przecież, co się dzieje z imperiami, które powierzają swoją obronę ludziom pochodzącym z podbitych ras.

Jednak uważając "muzułmańskie odrodzenie" za śmiertelne niebezpieczeństwo dla **ZSRS**, zapominamy, iż większość tych "muzułmanów" nie jest fanatykami, pragnącymi palmy męczeństwa: są oni trzecim pokoleniem obywateli sowieckich. Sowieccy Tadżykowie, Uzbekowie i Kazachowie nie potrafią nawet przeczytać Koranu /nie uczy się ich pisma arabskiego/, nie mają meczetów, w których mogliby się modlić i nie wiedzą niemal nic o własnej historii. Duża ilość tych ludzi - jak twierdzą niektórzy, większość - jest ześwieczczona. Niektóre jednostki wojskowe składające się z żołnierzy pochodzących z Azji Środkowej, zostały wycofane z Afganistanu na początku wojny, ze względu na ich niepewną lojalność, jednak mało kto wie, iż podczas kampanii afgańskiej, niemal jedna trzecia sowieckich sił okupacyjnych składała się z "muzułmanów". Nic wszelako nie było słyhać o buncie żołnierzy sowieckich w Afganistanie.

Jeśli bowiem chodzi o imperia, imperium rosyjskie zawiera niezwykle wysoką proporcję narodowości panującej. Rzymianie, Inkowie, Mongołowie, Arabowie - wszyscy oni stanowili niewielkie mniejszości we własnych imperiach, nie wspominając już o stu tysiącach Anglików rządzących setkami milionów Hindusów. Pomijając już siłę liczebną, Rosjanie zajmują cenną ze strategicznego punktu widzenia pozycję w swoim imperium - mogą oni stamtąd łatwo wysłać ekspedycję karne w celu stłumienia rebelii na pograniczach. No i - last but not least - krwawe zajścia między Ormianami i mieszkańcami Azerbajdżanu powinny rozwiać wszelkie nadzieje, iż narodowości zamieszkujące ZSRR potrafią współpracować i razem oprzeć się Moskwie: nawet Estonia, Łotwa i Litwa, choć położone blisko siebie i bliskie sobie kulturalnie, jakoś nie mogą zdobyć się na wspólne działanie. Zgodnie ze zwyczajem uświęconym tradycją, Kreml użyje wojsk z Azji Środkowej do strzelania do Białych i Ukraińców - i odwrotnie. Jeśli w Estonii wybuchną poważne zamieszki i zostaną one stłumione, radzę każdemu dobrze przyjrzeć się twarzom żołnierzy - idę o zakład, iż będą one smagłe.

/.../ Nawet pobieżne spojrzenie na szczyty nomenklatury wystarczy, żeby się przekonać, iż większość znaczących funkcji - czy to w armii, czy w strukturach państwowych, czy wreszcie w KGB lub w KPZS - obejmują Rosjanie. I to właśnie oni rządzą. Spoza fasady ideologii marksistowsko-leninowskiej ukazuje się prawdziwa rzeczywistość wielkorosyjskiego imperializmu - jest on spoiwem, które trzyma gmach imperium. Przez pewien czas te dwa nurty ściśle łączyły się ze sobą. Im jednak mniejsza atrakcyjność marksizmu, oraz im bardziej staje się jasne, iż ZSRR rozrywają od wewnątrz siły narodowe, tym bardziej oczywista będzie rosyjsko-imperialistyczna natura całego gmachu imperium. Obecne konflikty w ZSRR nic już nie znaczą. Prawdziwe konflikty dotyczą i będą dotyczyć tego, jaki język ma być używany w sądach, w szkołach i w oficjalnych dokumentach, wydawanych w różnych republikach, kto ma ustanawiać prawa, ilu Rosjan będzie mogło przebywać w poszczególnych republikach, i ilu będzie można stamtąd deportować, czy też - jak mają przebiegać granice republik. Po wczesnych obietnicach przewyciężenia alienacji człowieka, zaprowadzenia powszechnego dobrobytu, sprawiedliwości i braterstwa - i po straszliwym złamaniu tych obietnic w koszmarze gułagów - ZSRR stał się po prostu ostatnim wielonarodowym imperium w starym stylu.

Upadek imperium sowieckiego nie będzie pojedynczym, gwałtownym aktem. Gdy upadał poprzedni reżim rosyjski, nastąpiło to dopiero po trzech latach krwawej wojny światowej; tamta sytuacja raczej się już nie powtórzy /.../. ZSRR jest inwalidą, chorym człowiekiem Euroazji /.../ zamiast jednak na zawał serca umrzeć on na bolesną, przewlekłą chorobę. Skona na AIDS, albo lepiej - na trąd, podczas którego kawałki ciała ofiary stopniowo odpadają, choć w tym wypadku na ich miejscu mogą odrastać nowe - i to całkiem zdrowe. Timothy Garton Asch nazwał ów proces schyłku imperium "ottomanizacją", dialektycznym cyklem zamierzonych reform i odwrótów od nich, liberalizacji i upadków, ofensyw pokojowych i wojennych.

Ostatnie posunięcia zachodniego świata businessu, których celem jest udzielanie reżimowi sowieckiemu wspólnych kredytów, dowodzą, iż nawet nie zadaliśmy sobie pytania na serio: jak najlepiej pokierować upadkiem imperium sowieckiego, nie wspominając już o tym, że nie zastanawialiśmy się, jak czynić to mądrze i wspólnie. Zagadnienie - jak uwolnić Rosjan tak bezboleśnie, jak tylko to możliwe - od ich imperium, stanie się największym intelektualnym i politycznym wyzwaniem dla konserwatystów u schyłku obecnego stulecia. Chory człowiek z rewolwerem nadal jest bowiem człowiekiem z rewolwerem. Musimy znaleźć jakiś sposób na to, żeby ów stary sklerotyk cicho zszedł z tego świata i nie miał sposobności, żeby pociągnąć za spust. Nie wolno nam wpadać w konserwatywną pułapkę i uwierzyć, iż gdy tylko ZSRR przekształci się w tradycyjną "Rosję", wszystko będzie dobrze /.../. Według łagodnych kryteriów tamtych czasów, Rosja carska była również tyranią i więzieniem narodów. Zdradzilibyśmy nasze wartości, gdybyśmy zdradzili ujarzmione narody Europy Wschodniej po prostu dlatego, iż zmienił się sposób dominacji. Usiłowania stłumienia aspiracji narodowych wschodnio-europejczyków doprowadziły już do dwóch wojen światowych. Przyszłość tych aspiracji



znów stała się tematem dnia.

Radek SIKORSKI  
przełożył: MASON

T Y M C Z A S E M   N A   U K R A I N I E

przedruk: "NATIONAL REVIEW", 27.01.1989

W połowie listopada /roku 1988 - "N"/, kiedy to uwaga świata skupiała się na republikach Bałtyckich **ZSRS** i na krwawych starciach między Ormianami a mieszkańcami Azerbajdżanu, około 10 tysięcy młodych ludzi demonstrowało w Kijowie przeciw elektrowniom atomowym na Ukrainie, które dostarczają połowy energii w całym **ZSRS**. Demonstracja ta, która odbyła się kilka mil od dotkniętych tragedią okolic Czarnobyla, zakończyła się 50 aresztowaniami i całkowicie umknęła uwadze prasy zachodniej. A jednak ukraiński nacjonalizm, który był prawdziwą przyczyną tej demonstracji, bardziej zagraża reżimowi sowieckiemu niż jakkolwiek ruch separatystyczny na Litwie, czy w Estonii.

Oleś Szewczenko, jeden z organizatorów demonstracji, spędził wcześniej siedem lat w gułagu; w listopadzie przeprowadziłem z nim wywiad w Kijowie - pół tuzina czujnych funkcjonariuszy KGB oczekiwało przed domem na mrozie. Szewczenko powiedział mi, że wszystkie te zamieszki w oddalonych od siebie republikach mają wspólną zasadniczą przyczynę - ci wszyscy ludzie pragną wolności. - Wolność ta nadejsze - podkreślał mój rozmówca. Szewczenko, jeden z pierwszych więźniów okrytego ponurą sławą obozu pracy nr 36 w Permie, uwolnionych pod rządami "główności", jest przekonany, iż system sowiecki ma przed sobą krótki okres życia, a choć agonია jeszcze nie nadeszła, to traci on grunt pod nogami. Organizacja, na której czele stoi Szewczenko - Ukraiński Komitet Obserwacyjny Przestrzegania Porozumień Helsińskich - wzywa co najmniej do przekształcenia **ZSRS** w "federację wolnych i niezależnych narodów". Jeśli chodzi o Gorbaczowa, to - jak twierdzi - "nie ma on zdecydowanych poglądów na nic". Jego obecne pociągnięcia, pompatyczne wezwania do "główności" i "pierestrojki" mają za przyczynę ponurą rzeczywistość gospodarczą, zaś nacisk ekonomiczny trwa. Na Ukrainie listopadowe demonstracje przeciwatomowe były tylko pierwszym krokiem - obiecywał Szewczenko. - Pewego dnia Ukraina znów stanie się panem we własnym domu.

Kremłowi przyjdzie znacznie trudniej znieść żądania "suwerenności", czy nawet secesji niż np. wysuwane przez Estonię - liczba ludności tej republiki wynosi 1.5 miliona. Posiadając 50 milionów mieszkańców, Ukraina jest drugą pod względem wielkości republiką **ZSRS** - ustępując pola tylko republice rosyjskiej - jej terytorium równe jest dwukrotnemu terytorium Polski, zaś liczba Ukraińców przewyższa ilość Polaków półtorakrotnie. Na Ukrainie nieustannie działa ruch nacjonalistyczny, który z punktu widzenia Moskwy jest najsilniejszym i najniebezpieczniejszym ze wszystkich sowieckich "problemów narodowościowych", i wobec którego Moskwa jest najmniej tolerancyjna. /.../

Ukraińcy są narodem słowiańskim o tak starym rodowodzie jak Rosjanie, a ich język bardzo przypomina język polski. Ich nieustanne odmowy poddania się asymilacji przez sąsiadów - Słowian - obraża Rosjan tak silnie jak żadne inne podobne odmowy ze strony Bałtów. Rosjanie, którzy stanowią 52 procent ludności **ZSRS**, i których kultura jest dominująca, uważają, jak się zdaje, Ukraińców za mniej udaną wersję siebie samych, choć Kijów był stolica Rusi Kijowskiej, pierwszego większego państwa wschodnich Słowian na długie wieki przed jakąkolwiek wzmianką kronik średniowiecznych o wiosce pod nazwą Moskwa. Kijów był również stolicą Włodzimierza I, którego tysiąclecie nawrócenia na chrześcijaństwo obchodzone z dość dużą pompą w **ZSRS** w ubiegłym roku. W sowieckich elitarnych jednostkach wojskowych, składających się z samych Słowian, przyjmowani są Ukraińcy, tak jak Rosjanie. Choć Ukraińcy ucierpieli straszliwie z rąk Stalina, podczas przymusowej kolektywizacji w latach 30 /zginęło wtedy 15 milionów Ukraińców i był to jeden z największych holocaustów w naszym stuleciu/, nie są oni obecnie dyskryminowani społecznie, tak jak mieszkańcy republik środkowo-azjatyckich. A jednak, w 300 lat po wcieleniu do imperium rosyjskiego, Ukraińcy uparcie i wytrwale odmawiają zrzeczenia się własnej tożsamości kulturalnej i przekształcenia się w Rosjan. Natan Szcarański /Anatol Szcarański/ powiedział, iż Moskwie, biorąc pod uwagę wielkość Ukrainy i jej pozycję w państwie sowieckim,

nacjonalizmu ukraińskiego "nie da się ująć w karby".

Zdesperowani po przymusowej kolektywizacji i głodzie w latach 30-tych, nie znając jeszcze faszystów, Ukraińcy z radością powitali wkraczających Niemców w roku 1941 jako wyzwolicieli, czego nigdy nie zapomniała im Moskwa. Jeśli chodzi o dysydentów ukraińskich, ich uczucia narodowe i wrogość do systemu sowieckiego są ściśle ze sobą związane, nadto w ostatnich czasach nacjonalizm ukraiński przyciąga każdy "odśrodkowy" i kontrkulturowy ruch, jaki powstaje w republice o powierzchni ćwierci miliona mil kwadratowych - environmentalistów, tołstojowców, rockersów, "hippiesów". Począwszy od roku 1985, nieformalne i niekonformistyczne ruchy młodzieżowe powstają na Ukrainie jak grzyby po deszczu, ocenia się, iż skupiają one obecnie od 7 do 8 procent młodzieży w tym rejonie.

Żeby otrzymać pozwolenie, organizatorzy sowieckich demonstracji odbywanych pod rządami "główności" muszą zawczasu podać władzom hasła, jakie zamierzają głosić oraz ściśle przestrzegać z góry ustalonego programu. Demonstrantom w Kijowie nie pozwolono używać następujących haseł: "Główność bez zasłony tajemnicy" /zostało ono uznane za nietrafne/, "Za wolną od atomu Ukrainą" /zostało ono uznane za przesadne/, oraz "Zieloni - jednoczcie się" /być może powodem odrzucenia tego hasła była dwuznaczność słowa "jednoczcie"/. Głównym hasłem, które uzyskało pozwolenie, brzmiało: "Uchrońmy Ukrainę przed reaktorami i biurokratami". Ale ta demonstracja była tylko "pierwszym krokiem", jak podkreślał Szewczenko. Ostatecznym celem jest wolność.

- Czuję się zawsze zaskoczony, ilekroć zachodni eksperci nazywają obecną naszą sytuację: "komunizm w kryzysie" - twierdzi Szewczenko. - Nigdy nie mieliśmy tutaj systemu komunistycznego. Główną sprężyną sowieckiego społeczeństwa nie jest komunizm, partia komunistyczna, czy też marksizm-leninizm, tylko KGB. Właśnie ona, nie żaden socjalizm.

Jak na kogoś, kto spędził siedem lat w obozie Perm 36, odbywając 65 dni kary w karczerze, będąc ubranym - gdy cele skuwa lód - jedynie w cienkie, bawełniane łańchmany, otrzymując przy tym nędzne posiłki - Oleś Szewczenko wydaje się być zupełnie pozbawiony strachu. Gdy wyszedł z hotelu, wśród śnieżnej nocy oczekiwało nań sześciu agentów KGB. Trzymali się z daleka, obserwując go tylko. Szewczenko nie wszedł do taksówki oczekującej przed hotelem. - To taksówka KGB - roześmiał się. - Kto wie, dokąd by mnie zabrali. Na rogu ulicy wsiadł do innego samochodu: kilku funkcjonariuszy odłączyło się od grupki i pojechało za nim własnym pojazdem - dookoła wciąż padał śnieg. Jeśli nawet Oleś Szewczenko miał stracha z powodu własnej nierównej walki z najbardziej represyjnym państwem we współczesnej historii, państwem, które zabiło dziesiątki milionów własnych obywateli, nie okazywał tego. Odjeżdżając taksówka, jakby nawet poweselał.

Richard GRENIER

przełożył: MASON

#### C Z E R W O N Y M A C L E A N

Aistair Maclean cieszy się w Polsce od lat niezmiennie szeroką popularnością i to nie tylko wśród amatorów filmów Sylvestra Stalone czy Arnolda Schwarzeneggera. Drukowały go w odcinkach gazety, wydawały oficjalne i nieoficjalne - choć nie drugoobiegowe - wydawnictwa; ba, ostatnio słyhać nawet o dziełach wszystkich, tzn. trzydziestu paru oprawnych w półskórek tomach. Słowem, popularność tego pisarza to wdzięczny temat do socjologicznego studium - lecz nie będzie ona tematem poniższych rozważań.

Chciałbym natomiast zwrócić uwagę, że sam schemat powieści jest zadziwiająco prosty, by nie powiedzieć prymitywny. Dobro uosobiane przez bohatera, czasem kolektywnego, walczy ze złem; najczęściej w jakiejś atrakcyjnej a zarazem egzotycznej scenerii. I przeważnie wygrywa.

Ten sam schemat, z jednym wyjątkiem - "HMS Ulisses" - odnosi się do powieści eksploatujących tematykę II Wojny Światowej. I wszystko jest w porządku jeśli akcja toczy się w scenerii greckich wysp /"Działa Nawarony"/ lub niemieckich Alp /"Tylko dla orłów"/ - czyli nigdzie... Gorzej jeśli tłem dla nieprawdopodob-

nych wyczynów bohaterów stają się wydarzenia kontrowersyjne, zatraćające o "wielką", by nie powiedzieć, nikczemną, politykę Aliantów - w szczególności Wielkiej Brytanii. A tak się rzecz miała w przypadku przynajmniej dwóch powieści Macleana, których akcja toczy się w Jugosławii.

Pierwszej z tych fabulek - "Komandosom z Nawarony" - zauważonej przy okazji projekcji filmu pod tym samym tytułem na początku lat osiemdziesiątych, oddano już sprawiedliwość w drugim obiegu. W szczególności mam na myśli zawarty w 4 nr. "WEZWAN", a przedrukowany w zbiorze "Widziałem wolność w Warszawie" szkic Jerzego Malewskiego "Anglicy nie róbcie filmu o Armii Krajowej!!!" Malewski przeprowadza w nim paralelę między lojalnymi wobec londyńskiego rządu królewskiego Jugosławii partyzantami generała Drahomira Mihajlovicia tradycyjnie zwanymi "czetnikami" a lojalnymi wobec londyńskiego rządu RP żołnierzami Armii Krajowej. Zainteresowanych odsyłam do szkicu Malewskiego, ostatnio zresztą opublikowanego przez londyńską "Polonię".

Sam chciałyby natomiast zająć się ostatnim przebojem Macleana - "Partyzantami". Rzecz, jak już pisałem wyżej, dzieje się w Jugosławii. Major czetników wraz z dwoma towarzyszami przediera się do oblegających Titę oddziałów Mihajlovicia. Prowadzi ze sobą arystokratyczne rodzeństwo - radiotelegrafistów dla czetników oraz odgrywającą niejasną rolę włoską parę. Po pełnej niespodziewanych zwrotów akcji, w której głównym przeciwnikiem naszych bohaterów okazują się włoscy komandosi z doborowej dywizji Murge czeka nas dużej klasy niespodzianka. Grupa majora to żadni czetnicy. To oficerowie partyzanckiego - czytaj komunistycznego - wywiadu. Rodzeństwo radiotelegrafistów marzy tylko o tym, by dać nogę właśnie do partyzantów zaś włoska para to w rzeczywistości Anglicy współpracujący z czetnikami z przymusu, w wyniku ordynarnego szantażu. Jakby tego było mało, przydzielony do grupy Mihajlovicia angielski oficer łącznikowy także swoje wie i tym co wie dzieli się ze wszystkimi, wygłaszając chyba przy okazji i credo Macleana.

"Mówię to jako angielski oficer - stwierdza - Nie chcę, żeby brzmiało to nazbyt dramatycznie, ale Wielka Brytania zмага się w śmiertelnym zwarciu - dosłownie! - z Niemcami. Jak ich pokonać? Bijąc się z nimi i zabijając ich. Jak powinniśmy zatem oceniać naszych sprzymierzeńców i potencjalnych sojuszników? Jaką miarę przykładać? Jedną. I tylko jedną: czy oni zabijają Niemców. A Mihajlović? Czy Mihajlović walczy przeciwko Niemcom? Diabła tam! On walczy razem z Niemcami, u ich boku! A Tito? Każdy Szwab, jaki napatoczy się pod lufę partyzanta, jest trupem". Słowem, sojusz nawet z samym diabłem... zwłaszcza, że jak wyraził się sam Churchill do swego wysłannika gen. /nomen omen/ Macleana, Brytyjczycy nie osiedlą się po wojnie w Jugosławii...

Jednakże nasz autor idzie nawet dalej. Partyzanci - czytaj komuniści - to nie konieczność, to oczywistość, to szlachetni, wierni, godni i wyrozumiali żołnierze. Nie zlikwidowali np. Angielki - włoskiego szpiega - bo działała pod przymusem, porwano jej dziecko. Major - dowódca grupy, zdaniem zakochanej w nim radiotelegrafistki, nie może być czetnikiem, bo czetnicy liczą, że fakt, iż oddziały Tity obciążone są trzema tysiącami jeńców, ułatwi ich likwidację - a ten styl wojowania żadną miarą nie pasuje do szlachetnego majora.

Obawiam się, że polski czytelnik Macleana, wiążący pojęcie partyzanta z etosem Armii Krajowej, może przyjąć dywagacje autora z dobrodziejstwem inwentarza. Nie byłoby mu też łatwo dotrzeć do faktów. Dlatego wydaje się sensowne oddanie głosu świadkowi. I to świadkowi stronnictwu - dowódcy partyzantów. Jednemu z wybitniejszych, ale zarazem człowiekowi, który potrafił odnieść się krytycznie do swojej działalności i politycznej i wojskowej - Milovanowi Džilasowi. Niech on sam opowie, jak było naprawdę.

CZYTACZ

/fragmety rozmowy George`a Urbana z Milovanem Džilasem  
zamieszczone w zbiorze "STALIN I STALINIZM" - POLONIA, LONDYN, 1987r./

## FANATYZM - LEWICOWY I PRAWICOWY /str. 179/

[...] Jednym z wielu przykładów barbarzyństwa jest opisana przez Pana /w książce "CZAS WOJNY" - "N"/ masakra włoskiego batalionu wziętego do niewoli: Wszyscy żołnierze włoscy - cały trzeci batalion 259 pułku dywizji Murge - zostali zgładzeni... Wiele zwłok wrzucono do rzeki Ramy. Niektóre trafiły pomiędzy kłody; odczuwaliśmy złośliwą radość na myśl o włoskich oficerach na mostach i skarpach w Mostarze przyjętych zgrozą na widok Neretwy wypełnionej zwłokami ich żołnierzy.

Bestialski wyczyn i bestialska radość.

Niewątpliwie. Powiem panu, jakie groteskowe powody nas do tego przywiodły. Z militarnego punktu widzenia nie było żadnej potrzeby zgładzenia tego batalionu. Mogliśmy go wziąć do niewoli albo rozbroić włoskich żołnierzy i odesłać ich z powrotem na ich linie - jak to czasami robiliśmy. Dlaczego tym razem nie zrobiliśmy ani jednego, ani drugiego? Ponieważ czuliśmy się moralnie zobowiązani do naśladowania chlubnego przykładu sowieckiego. Okrzykliśmy te oddziały i wezwaliśmy je do poddania; ale Włosi odmówili. Otóż w Armii Czerwonej istniała wtedy nie pisana reguła nakazująca zgładzenie każdego oddziału niemieckiego, który by wpadł w potrzask i odmówił kapitulacji. Uznaliśmy, że nie możemy być mniej twardzi niż Rosjanie - i dlatego, kiedy Włosi zostali w końcu zmuszeni do kapitulacji, wybiliśmy cały batalion.

A skąd owa "złośliwa radość"?

Podobnie jak w wielu innych sytuacjach, była to sprawa ideologicznego nieprzejednania. Taka jest, rzecz można, natura człowieka w warunkach wojny. Nie szczycę się tym - po prostu stwierdzam fakt.

Weźmy inny przykład, kiedy dał pan zgodę na egzekucję rodziny Tadića, nie miał pan zapewne żadnego sowieckiego wzoru do naśladowania.

To był zupełnie inny wypadek. Tadija Tadić był młodym studentem i komisarzem jednego z naszych oddziałów partyzanckich - należał do partii, rzecz jasna. Miał wuja, Spasoje, który przyłączył się do Czetników i ukrywał się - w pobliskim lesie, jak słyszeliśmy. Wysłaliśmy oddział z poleceniem zabicia go, ale lojalność Tadiji wobec wuja wzięła górę: ostrzegł go. Spasoje zaś, zamiast uciec, chwycił za broń, zastrzelił dwóch spośród naszych towarzyszy i zranił kilku innych. Tadija został aresztowany, po czym cały klan Tadićów - bardzo liczna rodzina - zbuntował się. Aresztowaliśmy prowdyrów; wszyscy oni byli członkami partii. Po śledztwie przeprowadzonym przez dwóch naszych towarzyszy, czterech spośród Tadićów, włącznie z młodym Tadiją, zostali skazani na śmierć i rozstrzelani.

Był to potworny cios dla klanu Tadićów. Ludzie ci nie byli naszymi wrogami. Przeciwnie, walczyli w naszych oddziałach partyzanckich i wielu z nich oddało życie za naszą sprawę. Ljubomir Tadić jest dziś znanym jugosłowiańskim filozofem. Uniknął on egzekucji dlatego tylko, iż uznaliśmy, że był zbyt młody, by go rozstrzelać.

Jaki jest obecnie stosunek Ljubomira Tadića do pana?

Nigdy mi nie wybaczył i być może ma rację - a być może nie ma.

Czy nie mogliście darować życia Tadićom, widząc, że wuj młodego Tadiji wychował go, był dla niego ojcem i że Tadija winien mu był lojalność głębszą niż wszelka lojalność, jaką mógł być winien organizacji politycznej?

Rozstrzelaliśmy tych ludzi, ponieważ złamali dyscyplinę wojskową i partyjną. Był to, nie przeczę, krok wyjątkowo drastyczny, bez względu na nasze racje. Myśl o tym, co zrobiliśmy, po dziś dzień napawa mnie niepokojem, choć nie bardzo mogę powiedzieć, że w tym wypadku czuję się winny.

Nie bardzo rozumiem to rozróżnienie. Przecież decyzja należała do pana...

Tak - gdybym próbował nie dopuścić do egzekucji, miałyby to ujemne konsekwencje dla mnie jako przywódcy. Oskarżono by mnie o mięczakowatość, o oportunizm, o brak kwalifikacji do roli partyzanckiego dowódcy.

Czy nosił się pan z zamiarem wstrzymania egzekucji?

Nie, absolutnie nie miałem takiego zamiaru. W warunkach, jakie narzuca wojna i rewolucja, musiałem postąpić tak, jak postąpiłem. /.../

## OFIARY REPATRIACJI /str. 205/

Kończąc tę rozmowę powinniśmy chyba pomówić o sprawie, o której głośno było w ostatnich latach w Wielkiej Brytanii: mam tu na myśli przymusową repatriację rosyjskich i jugosłowiańskich uchodźców, podjętą przez władze brytyjskie wiosną i latem 1945 r. Na okoliczności i nawet sam fakt repatriacji po raz pierwszy zwrócił uwagę opinii publicznej Aleksander Sołżenicyn w swym "ARCHIPELAGU GULAG".

Sprawa nabrała większego rozgłosu i wywołała wiele niepokoju moralnego, gdy Nicholas Bethell opublikował "OSTATNIA TAJEMNICE" /The Last Secret/, a potem Nikołaj Tołstoj podjął temat na nowo w "OFIARACH JAŁTY" /Victims of Yalta/. Politycy i urzędnicy państwowi, do których należały decyzje w tej sprawie w 1945 r., zachowywali milczenie. Do czasu ukazania się rewelacji Sołżenicyna publiczność nic na ten temat nie wiedziała. /Po polsku pisał o tej zbrodni wiele i od dawna Józef Mackiewicz - "N"/.

Sprawa ta jest dziś zbyt dobrze znana, aby trzeba ją było bliżej relacjonować; chcę po prostu zapytać, czy obecnie sądzi pan, że przymusowa repatriacja 20-40 tysięcy Jugosłowian była krokiem słusznym.

Nie, nie była! Ludzie, których Brytyjczycy zmusili do powrotu z Austrii, byli w ogromnej większości prostymi chłopami. Nie maczali rąk w żadnych morderstwach. Nie należeli do Ustaszów ani do słoweńskiej Gwardii Krajowej. Ich jedynym przestępstwem był strach przed komunizmem. Jedynym motywem ich ucieczki z kraju była panika. Gdyby Brytyjczycy przekazali nam naszych "Quislingów", takich jak Nedic, i agentów policji, którzy kolaborowali z nazistami w torturowaniu i zabijaniu ludzi albo zabijali na własną rękę, akcja Brytyjczyków byłaby, rzecz prosta, moralnie uzasadniona. Ale Brytyjczycy zrobili co innego; zmusili do powrotu wszystkich - a to było głęboko niesłuszne.

Według niektórych oszacowań, liczba owych uchodźców sięgała 40 000...

Nie sądzę, żeby było ich aż tylu. Wielu Czetników i ich sympatyków schwytaliśmy sami, na terenie kraju, zanim mieli sposobność uciec do Austrii. Ale Brytyjczycy niewątpliwie mieli w swych rękach jakieś 20-30 tysięcy ludzi. /.../

/.../ Ale czy wtedy, w r. 1945, też był pan zdania, że Brytyjczycy postąpili niewłaściwie, zmuszając waszych uciekinierów do powrotu?

Szczerze mówiąc, zupełnie nie rozumieliśmy, dlaczego Brytyjczycy nalegali na repatriację tych ludzi. Zdawało nam się, że w atmosferze ideologicznej, jaka wtedy panowała, powinni oni mieć wiele sympatii dla owych uchodźców, którzy uciekli przed komunizmem. Sądziłyśmy, że Brytyjczycy okażą wobec nich "solidarność klasową" i niektórzy z nas obawiali się nawet, że zwerbują ich oni do zwalczania rządów komunistycznych, zwłaszcza naszego rządu. Tymczasem, ku naszemu zdumieniu, Brytyjczycy zamiast ich wykorzystać przeciw nam, oddali ich w nasze ręce. Było to tym bardziej zaskakujące, że wielu Jugosłowianom /Chorwatom i innym/, którzy znaleźli się w Wielkiej Brytanii jako jeńcy wojenni, repatriacja, jak się zdawało, w ogóle nie groziła.

Powiedział pan, że rząd brytyjski mógł mieć niejaki praktyczne powody po temu, by zmusić Rosjan do powrotu. Ale co go mogło skłonić do repatriacji Jugosłowian? Wasz rząd nie miał czym szantażować Brytyjczyków, a Brytyjczycy nie mieli powodu przymilać się do ultrastalinowskiej /podówczas/ Jugosławii.

Było to rzeczywiście zagadkowe; skłonny jestem przypisać to bezdusznosci biurokratów, którzy chcieli zamknąć akta i oczyścić swe biurka. Widzi pan, owe 20-30 tysięcy Jugosłowian w Karyntii było ciężarem dla Brytyjczyków. Trzeba ich było żywić, zapewnić im dach nad głową, trzymać ich pod kontrolą. Najprostszym wyjściem było odesłać ich do Jugosławii.

Czy powiada pan więc, że podstawa Brytyjczyków była połączeniem obojętności, braku wyobraźni politycznej i zwykłej głupoty?

Nade wszystko głupoty. Powinni byli zdać sobie sprawę z charakteru ówczesnego rządu jugosłowiańskiego i wyciągnąć wnioski.

Tak - Brytyjczycy postąpili karygodnie odsyłając tych ludzi na drugą stronę granicy i myślny postąpili karygodnie rozstrzelując ich wszystkich. W "CZASACH WOJNY" otwarcie stwierdziłem, że uważam te zabójstwa za bezsensowne akty wściekłej zemsty.

Wiadomości o masowych egzekucjach dotarły do mnie, gdy byłem w Czarnogórze. Nawet wtedy czułem, że był to najbardziej odstręczający sposób załatwiania porachunków.

Zdawałoby się, że do masowych egzekucji, których ofiarą padły dziesiątki tysięcy ludzi, nie mogło dojść bez bezpośredniego rozkazu Tity?

Czy Tito wydał taki rozkaz, nikt nie wie. Ale niewątpliwie był on zwolennikiem radykalnego rozwiązania - z przyczyn pragmatycznych, podobnie jak Brytyjczycy mieli pragmatyczne powody po temu, by odesłać tych uchodźców. Jugosławia znajdowała się w stanie chaosu. Nie było prawie żadnej administracji państwowej. Nie było ukonstytuowanych we właściwy sposób sądów. Przeprowadzenie miarodajnych dochodzeń dotyczących 20-30 tysięcy ludzi było niemożliwością. Jedynym łatwym rozwiązaniem było rozstrzelanie ich wszystkich i pobyć się problemu.

Czy brytyjskie Foreign Office i brytyjskie przywództwo wojskowe mogły rozsądnie przypuszczać, że rozstrzelacie każdego repatriowanego uchodźcę?

Myślę, że mieli dostateczne powody, aby się tego spodziewać. Mieliśmy u siebie Brytyjską Misję Wojskową. Jej członkowie doskonale zdawali sobie sprawę z tego, jak Ustasze i Czetnicy nas traktowali i jak myślny traktowali ich ludzi, którzy wpadli w nasze ręce, i każdego, wobec kogo mieliśmy choćby najmniejsze podejrzenia, że ich popiera. Ale Brytyjczycy woleli przymknąć oczy.

Nie tylko oni zresztą nie chcieli wiedzieć. Jednym z naszych czołowych "sojuszników" we "Froncie Wyzwolenia Narodowego" w latach wojny był Edward Kocbek, wybitny chrześcijański socjalista, człowiek wyjątkowo prawy, o ascetycznym charakterze, całkowicie uczciwy w swym myśleniu i działaniu. Kocbek był też pisarzem, którego talent wszyscy podziwialiśmy. Od początku był on po naszej stronie; sądził, że w systemie komunistycznym znajdzie się miejsce na katolickie wartości duchowe. Pewnego dnia doszły go słuchy, że rozstrzeliwaliśmy tysiące ludzi ze słoweńskiej Gwardii Krajowej /"białogwardzistów", jak to ich wtedy nazywaliśmy/. Kocbek był zaniepokojony. Jako przywódca Chrześcijańskiej Partii Socjalistycznej we Froncie Wyzwolenia natychmiast zwrócił się do przywódców naszego słoweńskiego Komitetu Centralnego z pytaniem, czy pogłoski te były prawdziwe.

Nasi towarzysze z Komitetu Centralnego zapewнили Kocbeka, że były one czczym wymysłem. "Nie, nie, panie Kocbek", powiedzieli, "pogłoski te, oczywiście, nie mają nic wspólnego z prawdą. Ludzie z Gwardii Krajowej znajdują się w obozach i są pod dobrą opieką. Każdy przypadek poddaje się gruntownemu badaniu; o losach tych, którzy zawinili, ostatecznie zdecydują sądy..."

Kocbek powrócił z tej rozmowy wyraźnie uspokojony i powiedział nam, że uzyskał całkowicie zadowalające wyjaśnienia i miał spokojne sumienie. MY, oczywiście wiedzieliśmy, że to, co mu powiedziano, było stekiem kłamstw i że ludzi z Gwardii Krajowej rozstrzelano co do jednego. Ale Kocbek chciał wierzyć w to, co mu powiedziano - a więc uwierzył. Był, jak to z uczciwymi ludźmi często bywa, zupełnie naiwny.

Być może, Brytyjczycy też chcieli wierzyć, że potraktujemy repatriantów zgodnie z prawem - choć, zważywszy na ich duże doświadczenie polityczne, trudno uwierzyć, aby mogli być tak naiwni.

Tak czy owak, jest dla mnie rzeczą prawdziwie szokującą, że w otwartym i demokratycznym społeczeństwie, takim jak brytyjskie, cała sprawa przymusowej repatriacji mogła być ukrywana przez niemal trzydzieści lat i ludzi odpowiedzialnych za nią nie zmuszono do złożenia wyjaśnień. Niewątpliwie sprawa zasługuje na publiczne dochodzenie./.../

## NOTATNIK ARKADYJSKI

Zdawałoby się, że tropienie w nas i wokół nas przejawów ogarniającej nas "realnej Arkadii", którą to czynnością niżej podpisany zajmuje się od roku 1986 straciło w drugiej połowie roku 1989 jakikolwiek sens. Mamy przecież parlament, który, co by o nim nie powiedzieć, jest parlamentem; rząd, który jest rządem; prasę, która zaczyna być prasą. Zaczynamy tworzyć początki systemu politycznego, stopniowo odzyskujemy własne państwo, i prawie wszystko już od nas zależy...

To wszystko prawda. Zbyt jednak długo i zbyt intensywnie mieliśmy do czynienia z wszechogarniającą utopią by nie pozostały po niej ślady. W nas samych i w naszym otoczeniu, w społecznej infrastrukturze. A tropienie tych śladów to przecież zadanie niniejszej rubryczki.

## XXXVI. RZECZPOSPOLITA WYBORCZA

Dla startującego pisma dobry tytuł to połowa sukcesu. Najczęściej dobre tytuły są już jednak zajęte przez tych, którzy wystartowali wcześniej. Rzadko zdarza się sytuacja tak luksusowa z jaką miała do czynienia startująca w czerwcu gazeta solidarnościowa tymczasowo nazwana "GAZETA WYBORCZA". Mogła sobie poprzebierać w tytułach. Tymczasem "WYBORCZĄ" pozostała...

Jak dowiadujemy się z opublikowanej w 11/506 (z listopada 1989) numerze "KULTURY" rozmowy Renaty Głowackiej z Krzysztofem Leskim z braku dobrych propozycji. "Sporo było - mówi Krzysztof Leski - propozycji, które nawiązywały do bardzo patriotycznych tradycji". Ich wadą było jednak to, "że nie tylko dla specjalistów wiążą się wyraźnie z tradycją Narodowej Demokracji". A przecież "Gazeta Wyborcza oczywiście nie mogła sobie pozwolić na to, żeby przyjąć nazwę związaną wyraźnie z jakimkolwiek kierun-

kiem politycznym (to jest moje prywatne zdanie - zastrzega się Leski - ale podejrzewam, że większość redakcji by je podzieliła)". I tu następuje clou całej wypowiedzi: "Nie mogła to być więc Gazeta Polska ani tym bardziej Gazeta Narodowa."

No tak. "Gazeta Narodowa" - rzeczywiście może, choć nie musi, kojarzyć się, z dla wielu niesympatycznym, polskim nurtem politycznym - endecją. Rozumiem obawy przed takimi skojarzeniami i rozumiem, że akurat zespół "GAZETY WYBORCZEJ" nie widzi potrzeby odwojowania na użytek całego polskiego społeczeństwa przymiotnika "narodowy". Ale "GAZETA POLSKA"?... Dlaczegoż to miałyby być zły tytuł? Czy określenia "polski" komuś się źle kojarzy? I komu?

Aż cierpnie mi skóra jak po zmianie konstytucji nazywać się będzie państwo, które właśnie odzyskujemy? RZECZPOSPOLITA, ale jaka, bo chyba nie POLSKA? Może LUDOWA, może SOLIDARNA, może OBYWATELSKA?...Już wiem: W Y B O R C Z A.

## XXXVII.

## TRUDNOŚCI REALNE

Jednym z przejawów liberalizacji ostatnich lat była nowa polityka paszportowa. Praktycznie każdy może otrzymać paszport i praktycznie każdy może trzymać go sobie w domu i bez potrzeby powiadamiania administracji państwowej czy zakładu pracy wyjeżdżać gdzie i kiedy sobie chce, o ile oczywiście finanse i konsulát kraju docelowego pozwolą. Odmowa wydania paszportu to dziś ewenement, z którym, przyznam się ostatnio się nie zetknęłam. Słowem istotny postęp w praktykowaniu praw człowieka.

Na tym obrazie są jednak skazy, o których, co ciekawe głucho w prasie czy radiu. Otóż mimo, że praktycznie nikomu nie odmawia się wydania paszportu, wejście w jego posiadanie, zwłaszcza jesienią roku 1989 nie jest wcale takie proste - w Warszawie dla wielu wręcz niemożliwe. I nie chodzi mi tu wcale o wielogodzinne kolejki w biurach paszportowych - zresztą skandal trwający już od lat - ani o idiotyczne wzory kwestionariuszy, nie uwzględniające nowego stanu prawnego a więc trudne do właściwego wypełnienia.

Chodzi mi o to, że ostatnio urzędy paszportowe nie dysponowały kwestionariuszami i nie uważały za stosowne o te kwestionariusze się postarać, wszelkie związane z tym niewygodę przerzucając na petenta.

Paszport - Obywatelu PRL - to Twoje prawo. I nikt Ci go obecnie nie odbierze. A że nie ma kwestionariuszy? Nie możesz przecież wymagać od poważnego urzędnika państwowego by przebiegł się do najbliższego punktu kserograficznego i go powielił.

A zresztą, gdybyś zdobył nawet ten kwestionariusz to z tradycyjnych miejsc sprzedarzy (kiosków "Ruchu" w okolicy biur paszportowych) znikły znaczki niezbędnej opłaty paszportowej i nikt nie wie czy i kiedy się pojawiają.

No cóż. Trudności obiektywne można by powiedzieć. Druga Wojna Światowa!...Kryzys!...Inflacja!...

A ja myślę, że jednak Arkadia. Tyle, że realna.

## XXXVIII

## NAIWNOSĆ ?

Ostatnio jeżdżą po Warszawie tramwaje pomalowane w reklamy. No i dobrze. Może MZK zarobi... i nie podniesie cen biletów... Zdumiał mnie jednak, przyznam się tramwaj reklamujący PKO. Instytucja ta nie potrzebuje obecnie żadnej reklamy. Skutecznie rozreklamowały ją przecież wielogodzinne kolejki pod kasami.

Jeśli PKO ma jakieś zbędne pieniądze do wydania to wypadałoby je przeznaczyć na obsadzenie nieczynnych z braku personelu okienek. Wszystko inne to albo duża naiwność albo działania pozorowane w starym stylu. Myślę, że to drugie.

### XXXIX. FOBIE LONDYŃSKIEGO PROFESORA

- Jak można od socjalistycznego robotnika wymagać kapitalistycznego etosu pracy? - napisał kiedyś, o ile dobrze sobie przypominam, profesor londyńskiej School of Economics Stanisław Gomółka. Obecnie doradza on naszej Radzie Ekonomicznej jak prywatyzować polską gospodarkę. Sądząc po cytowanych powyżej słowach - właściwy człowiek na właściwym miejscu.

Niestety, a może szczęśliwie, ostatnio "GAZETA WYBORCZA" (nr. 26 z 31 stycznia, "Ekonomiści o prywatyzacji") zapoznała nas z niektórymi przemyśleniami londyńskiego ekonomisty. Oto one: "Rozdanie lub tania sprzedaż akcji wszystkim - cytuję za "GW" - ma tę zaletę, że umożliwia dokonanie całej operacji szybko". Ale ma też i wady ujawnione już na Za chodzie, bowiem, "ludzie nie czekając, aż akcje przyniosą zyski, natych miast je sprzedają". Chciałoby się zawołać: No i co z tego!? Niech sobie sprzedają! Przecież po to się wypuszcza akcje by nimi obracać przy okazji weryfikując na rynku faktyczną wartość przedsiębiorstwa.

Wydawałoby się więc same plusy... Jest jednak jeden minus właściwie kwalifikujący tę metodę. Oto, "zachodzi niebezpieczeństwo, że większość majątku szybko znajdzie się znowu (sic - A.A.) w rękach garstki ludzi, co społecznie byłoby trudne do przyjęcia".

Nieważne, że ekonomicznie byłby to proces zbawienny - wykreowałby bowiem szybko, co ważne, autentycznych właścicieli majątku produkcyjnego. Nieważne, że jego beneficjentem byłby uwłaszczony poprzez rozdawanie akcji pracowniczy ogół. Nieważne, że nie ma podstaw do prognozowania niechętnego stosunku społeczeństwa polskiego do prywatyzacji majątku państwowego. To wszystko nieważne... Stanisław Gomółka swoje wie: Kapitalistyczne stosunki społeczne są dla Polaków nie do przyjęcia!

Ja zaś odpowiem: Zależy dla kogo. Dla londyńskiego profesora ekonomii być może...nie. Ale wcale nie byłbym taki pewien, czy polski pracownik najemny podziela fobie londyńskiego profesora ekonomii? I czy rzeczywiście miałyby tak wiele trudności z zaakceptowaniem charakterystycznych dla demokratycznego kapitalizmu stosunków własnościowych?

Arkady AQUEDUKT

### POLOWANIE Z NAGONKĄ

Przypominam sobie z roku 1981 następujący monolog Jana Pietrzaka:

Słychać zewsząd wołanie: D o ś ć p o l o w a ń n a c z a r o w n i c e ! A właściwie dlaczego? Przecież te czarownice polowały na nas przez lat bez mała czterdzieści...

Aktualny prezes Radiokomiteu Andrzej Drawicz ma na ten temat zdanie wprost przeciwne. Naciskany przez opinię publiczną domagającą się rozliczeń skompromitowanych w ostatnich latach telewizyjnych osobistości miał odpowiedzieć: N i e b ę d z i e p o d p a l a n i a s t o s ó w z c z a r o w n i c a m i... I nie było.



Wygląda na to, że to właśnie maksymą Andrzeja Drawicza zdaje się kierować rząd Tadeusza Mazowieckiego niewątpliwie popierany przez pragnące publicznych rozliczeń społeczeństwo. I nie jest to wcale paradoks, ani lekceważenie opinii publicznej lecz konsekwencja ugody przy "okrągłym stole" - niesformalizowanej wprowadzonej w żadnym urzędowym zapisie ale zaakceptowanej przez stronę "solidarnościowo-opozycyjną" faktycznej abolicji dla dobrowolnie oddających część władzy "właścicieli PRL".

No cóż, trudno... Taka jest podobno konieczność a zarazem logika politycznego kompromisu, taka jest racja stanu...

Odnoszę jednak wrażenie, że ten punkt "okrągłostołowej" ugody uznaje się za obowiązujący także na obecnym etapie co nie wydaje mi się ani konieczne ani logiczne ani politycznie rozsądne. Chociażby dlatego, że jeszcze bardziej rozzuchwała i tak już przecież zuchwałą nomenklaturę - gwarantuje jej bowiem faktyczną bezkarność.

Przyjrzyjmy się choćby drobnemu fragmentowi wołającego o pomstę do premiera skandalu jakim jest działalność Poczty i Telegrafu - opłatami za korzystanie z automatów telefonicznych. Jak powszechnie wiadomo pasujący do nich monety, tzw. średnich dwudziestek, nigdzie (poza bazarami, ale tam ponoć kosztują kilkaset złotych) nie uświadczysz. Tymczasem, jak to ustalili, odsyłany od jednego łącznościowego Annasza (dyr. Piątkowski) do innego łącznościowego Kajfasza (dyr. Kamińskiego), reporter "GAZETY WYBORCZEJ" (nr 8.175) decyzję o przestawieniu automatów na średnie dwudziestozłotówki podjęto mniej więcej w pół roku po tym jak mennica bicia tych monet zaprzestała. Przy czym tenor tych rozmów był właściwie następujący: Nie ma się co denerwować, wszystko jest w zupełnym porządku, monet po prostu nie ma i nie będzie dlatego, że nie są już produkowane...

Niestety, w tym właśnie miejscu kończy się dociekliwość "GAZETY WYBORCZEJ". Do niedawna taka reakcja była całkiem zrozumiała. Cóż nam pozostało poza westchnieniem: **i s t i n n y k o m u n i z m l u b r e a l n y s o c j a l i z m i b e z r a d n y m w z r u s z e n i e m r a m i o n .** Obecnie jednak coś niecoś możemy. Ja na przykład chciałbym na początek się dowiedzieć czy Poczta ma coś w tej sytuacji konstruktywnego do zaproponowania. Jeśli nie, to sugerowałbym rezygnację z pobierania opłaty za korzystanie z automatów (koszty powinien ponosić odpowiedzialny za podjęcie tej idiotycznej - by nie powiedzieć mocniej - decyzji, czyli Poczta, aż do czasu wypuszczenia żetonów lub wystawienie przy każdym automacie pracownika pobierającego osobiście opłatę za połączenie. I nie jest to pomysł aż tak absurdalny jak by się zdawało na pierwszy rzut oka. Swego czasu postąpiły podobnie PKP uruchamiając automaty z biletami na warszawskich lub gdańskich (dobrze nie pamiętam) liniach podmiejskich. Podróżnym nieposiadającym właściwych monet niesprzedawano biletów w kasie lecz rozmienniano im tam pieniądze, które osobiście należało wrzucić do automatu.. Następnie monety wędrowały z automatu do kasy, z kasy do automatu...i da capo al fine.

Chciałbym znać także imię i nazwisko osoby personalnie odpowiedzialnej za telefoniczny skandal z automatami. Przy czym nie chodzi mi wcale o zaspokojenie częściej ciekawości. Nazwisko to pragnę znać z zupełnie innego powodu. Byłby to mianowicie pierwszy kandydat do jakże nam niezbędnego **p o l o w a n i a n a c z a r o w n i c e .** To znaczy na tych, którzy sądzą, iż skoro nie wytacza się przeciwko nim zarzutów za styl i sposób w jaki pełnili swoje obowiązki dotychczas, to tylko dlatego, że wszystko było w jak najlepszym porządku i tylko tak dalej....

A właściwie inaczej: Ja ogłosić mogę tylko nagonkę, polowaniem zaś

zajmą się, mam nadzieję, nasi posłowie i senatorzy oraz nasi ministrowie.

Na początek chciałbym się dowiedzieć (Zapytuję o to Pana Ministra Łączności): - kto personalnie odpowiada za podjęcie decyzji o opłatach za połączenia z automatów telefonicznych,

- kto ponosi winę za tolerowanie przez całe pół roku tego skandalu,

- oraz czy i jakie konsekwencje zostaną wyciągnięte wobec nieodpowiedzialnych odpowiedzialnych.

Przy czym zadowolą mnie tylko konkretne odpowiedzi na postawione powyżej pytania. I - jak tego dowodzi przykład Jacka Maziarzkiego, któremu po zażartych bojach udało się jednak ustalić nazwiska długo nieznanych sprawców odpowiedzialnych za pomieszczenie wśród znaczków pocztowych poświęconych odzyskaniu przez Polskę niepodległości obok Piłsudskiego, Witosa czy Dmowskiego postaci Juliana Marchlewskiego - nie musi to być wcale naiwność. O ile oczywiście pytania te - z konsekwencją Jaceka Maziarzkiego - powtarza się aż do skutku.

Arkady AQUEDUKT

## N I E T Y L K O S A J U D I S

przedruk: "SŁOWO" BIULETYN KONSERWATYSTÓW nr 1,  
Warszawa, 13.XII.1989 r., str.2

Zachodni komentatorzy oceniający sytuację w Polsce często popełniają pewien błąd - zauważają wyłącznie "Solidarność" i Komitet Obywatelski, nie dostrzegając rodzącego się życia politycznego. Powinniśmy unikać podobnych błędów obserwując wydarzenia w innych krajach Europy Wschodniej, zwłaszcza ZSRS. Obok półoficjalnych "frontów ludowych na rzecz pieriestrojki" powstają tam autentyczne ruchy i partie polityczne, które mogą być dla nas w przyszłości partnerem. Przykładem Litwa, gdzie obok Sajudisu powstało wiele różnych ugrupowań, nierzadko odrzucających nacjonalizm i przychylniej do Polski nastawionych. Z okazji rocznicy 17 września 10 litewskich organizacji politycznych opublikowało list do Polaków, w którym czytamy m.in.:

"Na terenach polskich okupowanych przez bolszewików, podobnie jak na terenach okupowanych przez hitlerowców, na narodzie polskim dokonano masowych zbrodni. Tysiące ludzi straciły życie. W Katyniu zginęli nie tylko Polacy, ale i Litwini. Rozumiemy wasz ból i smutek, czujemy się związani z Polską jednakowym losem, gdyż i nasz naród został przez tych samych katów pozbawiony swojej państwowości. Dlatego my, Litwini, wyrażamy swoją solidarność z Wami, Polakami, w tym dniu żałoby nad bolesną stratą. Nasze narody łączy nie tylko historia, ale i wspólne dążenia. Jednocześnie zatem w przyszłości swoje siły w walce za naszą i waszą wolność."

(tb)

List podpisały:  
Liga Wolności Litwy,  
Grupa Helsińska,  
Związek Demokratów Chrześcijańskich,  
"Młoda Litwa",  
Komitet Pomocy Więźniom Politycznym,  
Partia Humanizmu i Postępu,  
"Neo-Litwania",  
Partia Zielonych,  
Związek Wzajemnej Pomocy,  
"Labora"